

Tłomackie 3/5  
Czasopismo Żydowskiego  
Instytutu Historycznego  
im. Emanuela Ringelbluma  
Nr 1/2024

# TŁOMACKIE 3/5



**CAP ARCONA**  
**SPRAWIEDLIWI**  
**DIGITALIZACJA**  
**PURIMSZPILE**  
**ROSA RAISA**  
**CHANA BLANKSZTEJN**  
**CELNIKIER**

**TŁOMACKIE**  
**3/5**

# Nr 1/2024

## Wstęp

Szanowni Państwo, drogie Czytelniczki i Czytelnicy ... 3

## Reportaż

Azyl. O ulicy Wiejskiej w Gołąbkach / Monika Iwanicka ... 4

## Pytania i puenty

Digitalizacja. teoria i praktyka / Krzysztof Czajka-Kalinowski ... 10

## Korespondencje z przeszłości

Tragedia Cap Arcony / Anna M. Rosner ... 15

Działalność konspiracyjna Izabelli Radziwiłłowej w czasie okupacji / Monika Antczak ... 22

Bursztynowy głos chińskiej księżniczki z Białegostoku / Olaf Jackowski ... 28

Dr Michał Strykowski (1903–1943) – nieznaną bojownik Żydowskiego Związku Wojskowego, uczestnik powstania w getcie warszawskim / Szymon Pietrzykowski ... 31

## Świat Żydów

Chasydzki purimszpil / Arkadiusz Brudło ... 36

## Inwentarz

Pamięć wielokierunkowa Izaaka Celnikiera: A jednak żyjemy... / Zuzanna Benesz-Goldfinger ... 39

Nota od redakcji ... 43

## Krytyka bardzo kulturalna

Recenzja komiksu Getto płonie / Wojciech Szot ... 44

Odpowiedź na recenzję Wojciecha Szota / Paweł Freus ... 47

## Debiut

Głośne milczenie przedmiotów, czyli o dolnośląskich targach staroci / Jadwiga Czeska ... 50

## Literatura

Strach / Chana Blanksztein ... 53

Przepis ... 55

Dostrzegacz ... 57

Zapowiedzi wydawnicze ... 62

ידישער  
היסטאָרישער  
אינסטיטוט  
ŻYDOWSKI  
INSTYTUT  
HISTORYCZNY

**TŁOMACKIE 3/5** Czasopismo Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma

**REDAKCJA** Natasza Majewska (sekretarka redakcji), Jakub Bendkowski, August Grabski,

Monika Krawczyk, Anna M. Rosner, Karolina Szymaniak, Piotr Weiser

**ADRES REDAKCJI** ul. Tłomackie 3/5, 00-090 Warszawa / e-mail: [tłomackie@jhi.pl](mailto:tłomackie@jhi.pl)

**PROJEKT GRAFICZNY** FRYCZ I WICHA

**SKŁAD** Kuba Maria Mazurkiewicz

**REDAKCJA I KOREKTA** Marta Wojas

**DRUK** Drukarnia POZKAL Spółka z o.o. Spółka komandytowa

**ZDJĘCIA NA OKŁADCE** Zwój Estery. Zbiory Żydowskiego Instytutu Historycznego, MŻIH C-327

**ISSN 2720-6483**

# Szanowni Państwo, drogie Czytelniczki i Czytelnicy

trzymacie w swoich rękach kolejny numer czasopisma „Tłomackie 3/5”. To ostatni numer wydawany w ramach projektu Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe realizowanego we współpracy z Muzeum Historii i Kultury Żydów Polskich POLIN, dzięki któremu mogliśmy stworzyć „Tłomackie”. Jednym z najważniejszych celów tego projektu była digitalizacja zbiorów znajdujących się pod opieką Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma. Przybliżamy więc Państwu, jak wygląda digitalizacja, piszemy o wyzwaniach i dylematach, z którymi się wiąże, a także o tym, jak udostępniamy cyfrowe zbiory, by mogły dotrzeć do jak najszerszej grupy odbiorców i odbiorczyń.

W poprzednim numerze pisaliśmy o Rywce Glanc, bojownicze Żydowskiej Organizacji Bojowej. Dziś dopełniamy ten obraz i w 81. rocznicę powstania w getcie warszawskim przedstawiamy postać Michała Strykowskiego, uczestnika walk należącego do Żydowskiego Związku Wojskowego.

Wśród opisywanych przez nas bohaterów i bohaterek są też osoby, które w narażeniu życia walczyły, by ocalić ludzkie życia. Odwiedzamy dwie wille w warszawskiej dzielnicy Gołębki, gdzie w czasie wojny rodziny Konwerskich i Kijkowskich ukrywały kilkanaścioro Żydów i Żydówek. Piszemy też o innej Sprawiedliwej wśród Narodów Świata, Izabelli Radziwiłłowej, która dała schronienie grupie żydowskich dzieci.

Mówimy o historiach wojennych, takich jak tragedia zbombardowanego przez aliantów statku Cap Arcona, a także o meandrach powojennej pamięci i niepamięci, przechadzając się wśród pożydowskich artefaktów na odrzańskich targach staroci i przypatrując uważnie twarzy ocalałego z Zagłady uwiecznionej przez Izaaka Celnikiera na plakacie do japońskiego filmu.

A to jeszcze nie wszystko, na naszych łamach znajdziecie dużo więcej historii i opowieści. Zapraszamy do lektury! ■

Redakcja czasopisma „Tłomackie 3/5”

WSTĘP

# Azyl

## O ulicy Wiejskiej w Gołąbkach

**MONIKA IWANICKA**

Stacja kolejowa Warszawa Gołębki, ostatnia w granicach Warszawy, jeśli patrzy się od zachodu. Dojechanie do niej koleją zajmuje ledwie 15 minut – to niewiele, by znaleźć się w spokojnej, cichej okolicy, z dala od wrzenia miasta. Warszawskie Gołębki to dziś część dzielnicy Ursus, kojarzonej zazwyczaj z olbrzymią fabryką „Ursus” i produkowanymi tutaj traktorami. Ta okolica kryje jednak wiele sekretów, które warto – jeden po drugim – odkrywać.

W latach 70. i 80. fabryka dawała zatrudnienie 30 tys. ludzi. Dziś na jej terenach powstaje ogromne „miasteczko Ursus”. Tutejsze osiedla w przeszłości były zwykłymi wsiami: Skorosze, Czechowice, Szamoty; Gołębki były zaś wsią szlachecką (od drugiej połowy XVI w.). Znajdowało się tam kilka folwarków oraz stawy rybne, z których słynęła okolica.

W roku 1923 premier Władysław Grabski kupił jeden z takich folwarków i nazwał go Grabkowem. Niedługo potem rozpoczął parcelację majątku i stworzył Osiedle Ogród, które zamieszkiwali głównie urzędnicy, wojskowi oraz pracownicy kolei. Grabski był pierwszym prezesem Stowarzyszenia Miłośników Osiedla Gołębki. Dzięki niemu pojawiły się np. nazwy ulic i pierwsze latarnie, podarował również książki do nowo powstającej biblioteki. Jako właściciel klinkierni w Ołtarzewie wyłożył bezpłatnie czerwonym klinkierem

jedną z dróg. Dziś nie pozostał po tym żaden ślad poza nazwą ulicy: Czerwona Droga. Dom premiera Grabskiego stoi do dziś na ulicy Przemysła II (przed wojną ul. Parkowa), podobnie jak i dworek, który wybudował dla swojego syna, pisarza Władysława Jana Grabskiego. Ten przeprowadził się tam w 1927 roku po ślubie z córką dopiero co obalonego prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego, malarzką Zofią Wojciechowską.

W roku 1944 prezydent Wojciechowski wraz z żoną przeszli przez obóz przejściowy w Pruszkowie, skąd zostali wyprowadzeni dzięki pomocy sióstr z PCK. Podobną drogę przeszły tysiące Warszawiaków. Po wojnie Wojciechowscy zamieszkali u córki i zięcia. Były prezydent dożył tam końca swych dni – gdy umierał w 1953 roku, miał powiedzieć „Dlaczego ta Polska jest taka nieszczęśliwa?”.

Gołębki wraz z Ursusem zostały przyłączone do Warszawy w 1977 roku, a dwa lata później pozmieniano nazwy ulic, wykorzystując do tego prawie cały poczet królów polskich. Są tu ulice Kazimierza Jagiellończyka, Bolesława Krzywoustego, Królowej Bony itd., które swoim charakterem przywodzą na myśl atmosferę miast-ogrodów, jaką znamy z pobliskiej Podkowy Leśnej czy Milanówka. Przy tych „królewskich ulicach” stoją przepiękne domy z okresu międzywojennego otoczone niezwykle ogrodami, w których rosną zapomniane gdzie indziej odmiany drzew owocowych. Nie ma tu bloków, dużych sklepów, a praktycznie cały transport publiczny opiera się na kolei. Przedwojenne założenie miast-ogrodów „pracuj w mieście,



### Budynek przy ul. Koronacyjnej 2

odpoczywaj na wsi” jest tutaj cały czas aktualne. Jedną z niezwyklej i tajemniczych ulic jest Koronacyjna (przed wojną Wiejska). Dzięki odwadze niezwyklej mieszkańców ulicy Wiejskiej wojnę przeżyło kilkanaście osób, w tym także Żydów polskich, uciekinierów z getta warszawskiego. Artykuł ten poświęcony jest im oraz tym, którzy ich ocalili.

Historia nadal stojących w Gołąbkach dwóch domów bezpośrednio przypomina to, co działo się w warszawskim zoo, w należącej do rodziny Żabińskich Willi „Pod Zwariowaną Gwiazdą”.

Dom przy ulicy Koronacyjnej 2 należał przed wojną do Krystyny i Kazimierza Konwerskich. Krystyna (ur. 1911, zm. 1996) była córką Heleny z Michalków

i Romana, przedstawicieli inteligencji o postępowych poglądach. Ukończyła studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej, od zawsze angażowała się w działalność ruchu lewicowego. W dwudziestoleciu międzywojennym pracowała w polskiej sekcji międzynarodowej organizacji pomocy rewolucjonistom, kompletowała paczki dla dzieci, których matki zostały osadzone w więzieniach za działalność polityczną. Podczas II wojny światowej prowadziła w swoim domu tajne komplety. Jej mąż, Kazimierz Konwerski, był inżynierem-elektronikiem, uczestniczył w pracach nad deszyfryzacją wojskowej niemieckiej korespondencji, poza tym zajmował się wyrabianiem fałszywych dokumentów. W ich domu ukrywani byli:

- Janusz Wojdysławski,
- państwo Jadwiga (z domu Landsberg) i Leon Oxner z dwiema córkami,
- Irena (nazwisko nieznane),
- Regina (nazwisko nieznane),
- Felek (nazwisko nieznane).

Krystyna Konwerska w 1990 roku otrzymała medal Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. Wcześniej, w 1986 roku, zdała relację historyczną dostępną w Instytucie Yad Vashem pod sygnaturą 349/24/849. Czytamy w niej:

Postanowiłam w miarę bardzo skromnych możliwości przeciwstawić się nieludzkim zamiarom. W domu należącym do mnie i do mojego męża przebywało stale dwa-cztery osób pochodzenia żydowskiego lub z innych przyczyn prześladowanych. Pierwszą trzyosobową rodziną żydowską byli Wojdysławscy zamieszkujący ponad rok w okresie 1941-42 z siedmioletnim synem Januszem. Wyprowadzili się jak okoliczni mieszkańcy zaczęli przejawiać niewłaściwe zainteresowanie.

Pani Konwerska zorganizowała dwie kryjówki dla ukrywających się – jedną na strychu, drugą pod obórką dla kozy. Jej córka Joanna Chrabowska wspominała: „Pamiętam, jaki panował wówczas strach, by sąsiedzi nie zobaczyli wynoszonej ziemi”.

We wniosku złożonym przez Janinę Oxner do Instytutu Yad Vashem, który stanowił podstawę nadania pani Konwerskiej medalu Sprawiedliwej wśród Narodów Świata, czytamy:

Pomoc pani Konwerskiej polegała na wynajęciu moim rodzicom Leonowi i Jadwidze mieszkania na warunkach normalnych lokatorów, choć wiedziała o ich pochodzeniu bez dodatkowych korzyści materialnych oraz czuwaniu w miarę możliwości nad ich bezpieczeństwem. Rodzice w 1942 r. musieli opuścić Gołąbki w skutek szantażu.

Na początku 1943 roku u państwa Konwerskich zamieszkał także dziesięcioletni Felek z bratem bliźniakiem i mamą. Cała trójka uciekła z warszawskiego getta. Krystyna Konwerska wspominała:

Przyjął ich gospodarz z okolic Piastowa, matka zachorowała i zmarła, pochowali ją w obejściu. Brat Felka pewnego razu nie wrócił do domu. Gospodarz wystraszony usunął Felka [...] zatrzymał się u mnie. Jeszcze z getta wyniósł wrzody, odżył, wrócił mu humor i zaczął psocić co bardzo mnie wzruszyło.

Felek przebywał w Gołąbkach do sierpnia 1943 roku. W Kielcach, po donosie szmalcowników, aresztowano w tym czasie bliskich Krystyny – jej matkę Helenę Sarwińską i będącą w zaawansowanej ciąży siostrę wraz z mężem Romanem Metalmanem, znanym stomatologiem. Poczekalnia w jego gabinecie służyła jako miejsce kontaktów z podziemiem. Helena Sarwińska została zamordowana w Auschwitz, a jej siostra z mężem zostali rozstrzelani po wielogodzinnych przesłuchaniach. Mimo tych tragicznych zdarzeń Krystyna Konwerska nie straciła hartu ducha.

W pierwszych dniach powstania warszawskiego pomagała kilkusetosobowej grupie uciekinierów z miasta. Jej córka napisała: „Było dla niej naturalne, że jeżeli ktoś dzieje się krzywda, to trzeba mu pomóc”.

Po wojnie Krystyna Konwerska podjęła pracę zgodną z wykształceniem – zajmowała się odbudową centrali telefonicznych, później wykonywała wiele innych prac: została dyrektorką w Ministerstwie Łączności, dyrektorką Przedsiębiorstwa Robót Teletechnicznych, pracowała w Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego oraz w Instytucie Ekonomiki i Organizacji Przemysłu. Zapisła się w historii Gołąbek i w świadomości mieszkańców tej okolicy.

Drugi ważny adres to ulica Koronacyjna 7, kiedyś Wiejska 7. Stojący tam dom należał do Zofii i Gabriela Kijkowskich. Zofia (ur. 1905, zm. 1993) córka Mieczysława Pojawskiego i Hanny (z domu Miłkowskiej) pochodziła z arystokratycznej rodziny, wychowywała się w Anglii i Francji, władała trzema językami, grała na fortepianie. Jej mąż był przed wojną specjalistą od międzynarodowego prawa lotniczego w Ministerstwie Komunikacji, w czasie okupacji dostał pracę urzędnika na stacji kolejowej Włochy. Mieczysław Pojawski, posługujący się wówczas pseudonimem Ryszard, zginął w powstaniu warszawskim. Był inżynierem Wodociągów i Kanalizacji m.st. Warszawy. Matka była znaną rzeźbiarką, córką sławnego pisarza Zygmunta Miłkowskiego, który posługiwał się pseudonimem literackim Teodor Tomasz Jeż. Przyjaźniła się z Olgą Boznańską, która kilkakrotnie ją sportretowała, raz namalowała także samą Zofię.

W czasie wojny Zofia Kijkowska dołączyła do AK, gdzie zaczęła posługiwać się pseudonimami Dąbrowska i Kamińska. Posiadała bezcenną wiedzę na temat łączności i lokali konspiracyjnych, działała też w ramach organizacji Żegota. Po wpadce w domu w Gołąbkach w marcu 1944 roku musiała się ukrywać wraz z dwoma synami (7 i 10 lat). Wówczas też zmarł jej mąż – na progu własnego domu. Istniejące relacje podają dwie przyczyny zgonu: pierwsza to atak serca będący wynikiem brutalności nalotu i przeszukania domu przez gestapo,



**Budynek przy ul. Koronacyjnej 7**

druga to zastrzelenie przez gestapowca dokonującego przeszkukania.

W książce *Nie ma się z czego śmiać* Stefania Grodzieńska napisała:

Po wojnie kolejno Zofia Kijkowska sprzedawała na bazarze własnoręcznie zdobione biustonosze, była wróżką, sekretarką marszałka sejmu (kolegi z wojennej konspiracji), organizatorką widowni w Teatrze Syrena, a w końcu, aż do końca, uczyła języków obcych.

Razem z mężem, Jerzym Jurandotem, Grodzieńska przez dwa lata ukrywała się w domu państwa Kijkowskich. Jak zapisał sam Jurandot w dzienniku *Miasto skazanych. Dwa lata w warszawskim getcie*: „Nie tylko przygarnęli nas tu, stworzyli nowy dom i nową rodzinę. Nie wystarczy życia żeby się za to wszystko odwdziżyć”.

Jerzy (Glejgewicht) Jurandot (ur. 1911, zm. 1979) był poetą, satyrykiem, komediopisarzem, autorem tysięcy utworów estradowych, skeczów i piosenek. Należał do elity teatralnej przedwojennej Warszawy. Stefania Grodzieńska (ur. 1914, zm. 2010) była aktorką, tancerką, jedną z najbardziej lubianych artystek w getcie warszawskim.

Oboje poszli do getta dobrowolnie, żeby opiekować się rodzicami Jerzego. Oboje byli zaangażowani w działalność gettowych teatrów, które działały przez 20 miesięcy, dając w tym czasie 68 premier. Zimą 1941–1942 wystawiono w nich 180 przedstawień dla stu tysięcy ludzi. W *Mieście skazanych* Jurandot napisał:

Myśmy im dawali namiastkę tego, co mieli dawniej, namiastkę życia, które minęło. A z drugiej strony rzeczywistość była straszna, więc na wszelkie możliwe sposoby szukało się od niej uciezki. Działał tu najzwyczajniejszy, głęboko ludzki instynkt samoobrony.

W getcie Jerzy Jurandot był dyrektorem artystycznym Melody Palace przy ulicy Rymarskiej 12, a potem dyrektorem Teatru Femina przy Leszno 35. Z 70 osób tworzących ten teatr wojnę przeżyli – oprócz Stefanii i Jerzego – kierownik baletu, jedna aktorka, jedna tancerka, aktor Zygmunt Regro oraz Wiera Gran. W czasie wielkiej akcji likwidacyjnej, latem 1942 roku, Jurandotowie zdecydowali się na ucieczkę. Dzień przed rozpoczęciem akcji Wacław Jasiński, przedwojenny elektryk w kabarecie Cyrulik, przyniósł im zaszyte w krawacie pieniądze i dwa listy – jeden od przyjaciela, sławnego konferansjera Fryderyka Jarosego, a drugi od siostry Jerzego, Zosi. Jurandot pisał: „Oboje alarmowali nas, abyśmy uciekali, nie zwlekając ani chwili. Oni to już wiedzieli co będzie”.

Kiedy Jerzemu udało się zdobyć pracę dla ojca w jednym z dwóch szopów, postanowił ze Stefanią uciec na tzw. stronę aryjską. Tak opisywał ucieczkę z getta:

Pierwsza przeszła na tę stronę moja żona ze sfałszowaną przepustką przedostała się na cmentarz żydowski, który w jednym miejscu graniczy z aryjską ulicą, oddzielony od niej tylko wysokim murem. Na cmentarzu trafiła na moment dokonywania przez SS-manów masowej egzekucji i musiała przez szereg godzin ukrywać się w stosie zakrwawionych i cuchnących ubrań po zamordowanych. Dopiero późnym wieczorem, kiedy SS-mani opuścili cmentarz, mogła wyjść ze swojej straszliwej kryjówki i przedostawszy się przez mur znalazła się po tej stronie.

Kilka dni później tą samą drogą postanowił uciekać Jerzy. Niestety, blisko cmentarza trafił na obławę. Został złapany i zaprowadzony z kilkudziesięcioma osobami na Umschlagplatz. Stąd pomógł mu uciec jego przyjaciel, pracownik porządkowy i znany szmugler Szymon Stock. W przebraniu lekarza Jerzy opuścił to straszliwe miejsce. Ponowną próbę, tym razem udaną, podjął 10 sierpnia 1942 roku.

W domu Kijkowskich Stefania odgrywała rolę gosposi i niani ich dwóch synów – Piotra i Jacka. Napisała też tom wierszy *Dzieci getta*. Gdy Jerzy dołączył do niej, zaczął spisywać swoje wspomnienia z pobytu w dzielnicy żydowskiej.

A teraz siedzę w wygodnym, trzcinowym fotelu, w ogrodzie podmiejskiej willi, gestym żywopłotem osłonięty od ulicy i przed oczyma mam jesień w całym jej kolorowym przepychu. Mógłbym tak siedzieć i patrzeć bez końca. Od tych drzew, od tego nieba idzie wielki spokój. Spokój ten powoli wchodzi we mnie i ogarnia mnie. Od dwóch lat nie widziałem nieba ani drzew, a przecież wystarczyłoby żeby jakieś niepowołane oko dojrzało przez szparę w żywopłocie mnie lub moją żonę, która obok na trawie czyta książkę abyśmy to natychmiast przypłacili życiem.

Państwo Jurandotowie ukrywali się w willi przy Wiejskiej od sierpnia 1942 do marca 1944 roku. U Kijkowskich przebywały także: ceniona śpiewaczka operowa, sopranistka, wykształcona we Włoszech Helena Ostrowska oraz jej córka Joasia. Helena jeszcze w getcie warszawskim koncertowała z Żydowską Orkiestrą Symfoniczną oraz występowała w Teatrze Femina. Przyjaźniła się z Jurandotami. Jej mąż, znany warszawski lekarz, Gustaw Zukerwar, został zamordowany na terenie dzielnicy żydowskiej. Helena w wyniku łapanki w getcie znalazła się na Umschlagplatzu, jednak udało się jej wyskoczyć z jadącego do Treblinki pociągu. W czasie ucieczki zraniła się poważnie w głowę i trzy dni błąkała po okolicznych lasach. W końcu została znaleziona przez chłopca, który wraz z żoną postanowił się nią zaopiekować. U państwa Kijkowskich często grywała na fortepianie utwory Chopina i śpiewała arie operowe.

17 marca 1944 roku do domu przy Wiejskiej 7 po raz kolejny wkroczyli gestapowcy szukający współpracującej



## **Premierowe przedstawienie odbyło się w Teatrze Femina w styczniu 1942 roku, a 3 sierpnia tego samego roku, dzięki członkom organizacji Oneg Szabat, scenariusz ukryto w jednym z metalowych pudeł, które dziś wchodzi w skład tzw. Archiwum Ringelbluma.**

z AK Zofii Kijkowskiej. Tego dnia zabrali Helenę z córeczką, przewieźli na Pawiak i tego samego dnia zamordowali. Córka Jurandotów, Joanna, otrzymała pierwsze imię po córce Heleny, a drugie po swojej matce chrzestnej – Zofii Kijkowskiej. Sama nigdy od rodziców nie usłyszała słowa „getto”. Jeśli w ogóle rozmowa schodziła na jego temat, używano określenia „wesołe miasteczko”.

### **Epilog**

W czasie ukrywania się u Kijkowskich Jerzy Jurandot spisywał wspomnienia oraz prowadził dziennik. Zatytułował je *Miasto skazanych. Dwa lata w warszawskim getcie*. Dwa zapisane przez niego bruliony zostały zakopane w słoju pod jabłonką w ogrodzie państwa Kijkowskich. Ukrył tam również tom wierszy swojej żony zatytułowany *Dzieci getta*. Po wojnie słoje odkopano, zapiski Jurandota nie zostały jednak opublikowane przez następnych kilkadziesiąt lat.

W roku 1949 Stefania Grodzieńska, pod pseudonimem Stefania Ney (nazwisko matki) zdecydowała się na wydanie wierszy. Ukazały się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego opatrzone wstępem Marii Dąbrowskiej. Wiele lat później, po śmierci swojego męża, Grodzieńska powierzyła teksty Jurandota filmowej dokumentalistce Agnieszce Arnold z zastrzeżeniem niepublikowania ich za jej życia. Zmarła w 2010 roku, a cztery lata później nakładem wydawnictwa Polin ukazało się krytyczne opracowanie dzienników Jerzego w redakcji Agnieszki Arnold przy współpracy z Pawłem Szapiro. W tomie tym, oprócz *Miasta skazanych. Dwa lata w warszawskim getcie*, znalazły się eseje Jurandota z lat 70. *Humor w opasce*, tom wierszy Grodzieńskiej *Dzieci getta* oraz sztuka Jerzego *Miłość szuka mieszkania*. Co ciekawe, jej tekst powstał w getcie. Premierowe przedstawienie odbyło się w Teatrze Femina w styczniu 1942 roku, a 3 sierpnia tego samego roku, dzięki członkom organizacji Oneg Szabat, scenariusz ukryto w jednym z metalowych pudeł, które dziś wchodzi w skład tzw. Archiwum Ringelbluma. Pod piwnicą żydowskiej szkoły przy ulicy Nowolipki 68 skrzynki i ich bezcenna zawartość przeleżały do 16 września 1946 roku.

Dziś oryginał tekstu przechowywany jest w archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego jako część wielkiej kolekcji – Podziemnego Archiwum Getta Warszawskiego.

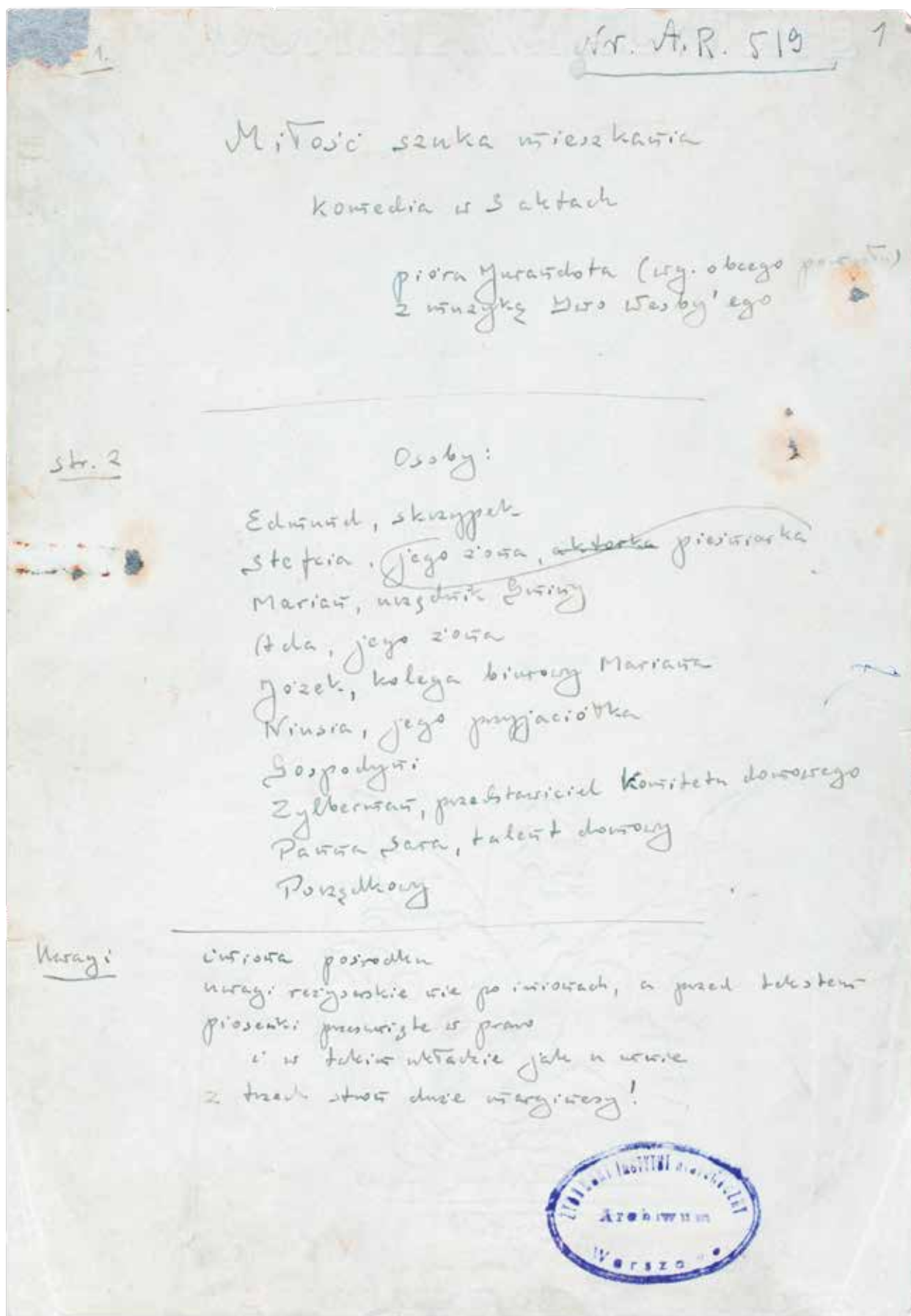
To, co Jerzy Jurandot ukrył w słoiku, a co Stefania Grodzieńska powierzyła Agnieszce Arnold, ta po wydaniu drukiem przekazała na ręce dr Eleonory Bergman, składając tym samym do Archiwum ŻIH.

### **Od Autorki:**

Jestem przewodniczką miejską zatrudnioną w Żydowskim Instytucie Historycznym. Mieszkam w Gołąbkach bardzo blisko wspomnianych domów przy ul. Koronacyjnej. Prawie codziennie przechodzę obok nich lub przejeżdżam na rowerze. Widzę te domy, niezmienione od wojny. Jednocześnie mam przed oczami obrazy historyczne i ludzi, którzy brali w nich udział.

Historia jest wszędzie. Tak samo jak ludzie o gołębiczych sercach. ■

**Monika Iwanicka** – przewodnicząca po Warszawie. Przewodnicząca w Żydowskim Instytucie Historycznym.

Rękopis sztuki *Miłość szuka mieszkania* Jerzego Jurandota

# Digitalizacja

## Teoria i praktyka

KRZYSZTOF CZAJKA-KALINOWSKI

Dla historyków czy archiwistów pracujących w oparciu o materiały źródłowe historia jest czymś względnie stałym, podlegającym jedynie różnym interpretacjom. Przedmiotem ich namysłu nie będzie więc sam fakt istnienia powstania warszawskiego, ale jego przebieg czy analiza jego skutków. Inaczej jest w przypadku osób niezajmujących się zawodowo historią czy archiwistyką. Zazwyczaj takie osoby znają wydarzenia historyczne, nierzadko nawet interesują się nimi, ale ich postrzeganie historii nie wynika tylko z własnej interpretacji faktów, a przede wszystkim z tego, które fragmenty rzeczywistości zostaną im przedstawione. Za pomocą polityki historycznej (efekt podejścia do historii jako czegoś, co można kształtować zgodnie z własnymi potrzebami) można zmieniać ich postrzeganie przeszłości, eksponując pewne wydarzenia i pomijając inne, a tym samym modyfikować świadomość historyczną. Konsekwentne stosowanie cenzury i ignorowanie części faktów może dawać wymierne efekty w postaci zmiany postrzegania całych epok – przykładem może być tu dwudziestolecie międzywojenne, które przedstawiane było w okresie PRL jako czas panowania burżuazji, uciemnienia robotników i faszyzacji Polski, a obecnie jako czas triumfalnego i jednoznacznie pozytywnego odrodzenia państwa. W efekcie ówczesne konflikty polsko-czechosłowackie o Śląsk Cieszyński nie wywołują dzisiaj większych emocji, w przeciwieństwie na przykład do relacji polsko-żydowskich.

Rozwijające się technologie cyfrowe i powszechny dostęp do Internetu, nowych mediów, bibliotek cyfrowych, repozytoriów i baz danych sprawiają, że coraz więcej osób zajmuje się popularyzacją historii, opowiadając o niej na forach, blogach, w serwisie YouTube czy na TikToku. Jednak ze względu na brak odpowiedniego aparatu naukowego, chęć przedstawienia pewnych wydarzeń w odpowiednim świetle czy po prostu brak wiedzy, ze strony cyfrowych edukatorów może dochodzić do „manipulacji” faktami historycznymi. Czasem jest ona świadoma – nazywamy ją wtedy polityką historyczną – czasem zupełnie nieświadoma, ale wcale nie mniej groźna. Jednym ze sposobów na przeciwdziałanie takiemu zjawisku jest zapewnienie łatwego bezpośredniego dostępu do źródeł – poprzez ich digitalizację i udostępnianie.

Odpowiedni dobór materiałów do udostępnienia może mieć duży – pośredni i bezpośredni – wpływ na postrzeganie historii, ponieważ w ten sposób dana instytucja decyduje o tym, którą część historii czy kultury chce prezentować swoim odbiorcom. Przedstawiając relacje z gett, można skupić się na tych, które opisują Polaków pomagających Żydom, ale też wybrać te, w których takiej pomocy nie ma, lub znaleźć takie, wedle których Żydowska Służba Porządkowa nadużywała swoich praw. We wszystkich wypadkach będziemy mieli do czynienia z przekazem autentycznym, ale dającym zupełnie inny obraz sytuacji. Dostęp do dokumentów decyduje przynajmniej częściowo o tym, jakie tematy zostaną przez badaczy poruszone. Dotyczy to szczególnie naukowców, dla których korzystanie z oryginałów źródeł jest utrudnione ze względu na miejsce zamieszkania, brak odpowiedniej afiliacji czy ograniczenia w udostępnianiu oryginałów ze względu na ich znaczącą wartość (jak ma to miejsce choćby w przypadku Archiwum Ringelbluma).



## W Pracowni Digitalizacji Żydowskiego Instytutu Historycznego

### Czym jest digitalizacja?

Digitalizacja w najprostszym ujęciu jest stworzeniem cyfrowej kopii analogowych danych za pomocą skanowania lub fotografowania. W przeciwieństwie do fotografii artystycznej czy amatorskiej, fotografia digitalizacyjna nie ma na celu wybrania najlepszego kadru czy stworzenia najładniejszego ujęcia, ale możliwie dokładne oddanie wyglądu obiektu. Wymaga to specjalnie przygotowanej pracowni fotograficznej – pozbawionej światła dziennego, neutralnie oświetlanej i ze ścianami w odcieniach szarości, a także profesjonalnego sprzętu, który niestety jest dość kosztowny – profesjonalny skaner dziełowy wraz z oprogramowaniem to koszt ponad stu tysięcy złotych.

Wybór materiałów do digitalizacji z pozoru wydaje się całkiem prostą sprawą – digitalizujemy najcenniejsze, najciekawsze lub najbardziej zniszczone zbiory. Należy jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, co właściwie znaczą dla nas te określenia. Czy o randze zbioru powinien decydować jego wiek, wartość finansowa, a może najistotniejsza jest jego treść? Duże znaczenie ma też kontekst historyczny, czego dobrym przykładem mogą być zachowane obiekty z okresu II wojny światowej. Z polskich zbiorów warto digitalizować przede wszystkim te istotne z punktu widzenia historii, w przypadku pozostałości kultury żydowskiej nie mamy takiego wyboru – digitalizujemy to, co przetrwało. Nie ma więc jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o „wartość” danego zbioru, a jednak w jakiś sposób trzeba podjąć tę decyzję. Pojawiają się również inne powody wyboru obiektu do digitalizacji, nie mniej istotne, choć nie takie oczywiste – jak na przykład prośba poważanego badacza czy potrzeba wizualnego uzupełnienia obchodów jakiegoś święta lub rocznicy. Przeanalizowanie i zrozumienie przyczyn wyboru konkretnych materiałów do digitalizacji jest o tyle ważne, że może od niego zależeć dalszy kierunek działań instytucji, w tym prace naukowe, edukacja, promocja czy realizacja innych projektów. Niżej przedstawię najczęstsze powody digitalizacji zbiorów w instytucjach kultury. Kolejność wymienianych przyczyn jest przypadkowa i niezależna od ich wagi.

„**Digitalizacja zachowawcza**” polega na digitalizacji zbiorów wyjątkowych, wymagających specjalnego przechowywania i ograniczonego fizycznego dostępu (jak wspomniane Archiwum Ringelbluma) oraz materiałów szczególnie narażonych na zniszczenie ze względu na duże zainteresowanie badaczy – przykładem są niektóre teczki archiwalne i fotografie. Tego typu digitalizacja może też służyć utrwalaniu zbiorów, które z racji sposobu wykonania tracą z czasem swoje pierwotne właściwości, jak np. fotografie z lat 90. XX wieku, które stopniowo tracą kolor.

**Digitalizacja w ramach projektów.** Kolejnym powodem wyboru materiałów do digitalizacji są granty, wystawy, projekty naukowe i wydawnicze.

**Promocja i popularyzacja zbiorów.** Z perspektywy dzielenia się informacjami o zbiorach instytucji kluczowa będzie digitalizacja materiałów służących promocji i popularyzacji. W jej wypadku celem nie jest utworzenie kopii samego zbioru, ale dobór reprezentatywnych materiałów, które pomogą w zrozumieniu całości. Zbiory archiwalne, nawet te o wyjątkowo ciekawej treści, są trudne do wypromowania. Oczekiwania odnośnie do materiałów zamieszczonych w Internecie bardziej koncentrują się na ich wyglądzie i pierwszym wrażeniu niż na samej treści. Z tego względu warto zadbać, o ile to możliwe, by udostępnieniu materiałów archiwalnych towarzyszyły też materiały wizualne. Dla przykładu, gdy wybieramy „Zbiór materiałów do dziejów ludności żydowskiej w Łodzi”, warto równocześnie zdigitalizować zespół materiałów fotograficznych z Łodzi, tak by zbiory te mogły się wzajemnie uzupełniać. Jest to oczywiście założenie idealne i wymagające posiadania komplementarnych materiałów ikonograficznych.

**Praca naukowa i publikacje.** Równie ważnym powodem do digitalizacji jest wspomaganie pracy naukowej. Dzięki zdigitalizowanym materiałom nad analizą i opracowaniem zbiorów danej instytucji mogą pracować badacze z innych ośrodków, którzy nie mają możliwości zapoznania się z dokumentami na miejscu. Decyzja o digitalizacji i udostępnieniu konkretnych materiałów często może decydować o formie artykułów i książek wydanych na podstawie zbiorów, albo nawet o tym, czy one w ogóle powstaną.

#### Wyzwania w procesie digitalizacji zbiorów:

- **Czas.** Ostateczną ideą większości instytucji prowadzących digitalizację jest cyfryzacja całości zbiorów. Jednak proces ten jest niezwykle pracochłonny i dlatego konkretny plan digitalizacji i ustalenie kolejności prac jest kluczowym aspektem procesu. Digitalizacja wybranych materiałów w określonym czasie często bywa trudniejsza, niż może się wydawać. Ocena szybkości procesu opiera się na wstępnych szacunkach – wiadomo, ile jest teczek archiwalnych, dzieł sztuki czy fotografii. Dobrym przykładem może być tu zespół 123 – Kolekcja polskich paszportów żydowskich emigrantów do Palestyny. W teorii jest to stosunkowo mały zespół 3756 obiektów – 3 metry bieżące. W praktyce ze względu na niewielki rozmiar poszczególnych obiektów i sztywny gruby papier cały zespół okazał się wyjątkowo trudny do skanowania, a jego digitalizacja zajęła prawie dwa lata. Porównywalny objętościowo zespół składający się z kartek A4 wymagałby poświęcenia nie więcej niż ¼ tego czasu.
- **Stan fizyczny.** Na czas realizacji wpływa też stan fizyczny samych materiałów. Przykładem może tu być digitalizacja rocznika czasopisma. Dużą różnicę sprawi, czy będzie się on składał z pojedynczych numerów, czy też będzie poszytem (to oprawiony cały rocznik zawierający wszystkie numery czasopisma). W tym drugim wypadku digitalizacja jest mocno utrudniona (głębokie wszycie, często zachodzące na wewnętrzną część tekstu, uniemożliwia zeskanowanie całości tak, by była w pełni czytelna), a efekty – niezadowolające. Problemem może być też zły stan zachowania materiałów i potencjalne zagrożenie biologiczne z ich strony. Do tego zbiorów, które powinny zostać zdigitalizowane, jest po prostu bardzo dużo. Same archiwa ŻIH zajmują kilka pięter i liczą miliony stron.

- **Prawa autorskie i ochrona danych osobowych.** Mówiąc o digitalizacji, a w szczególności o udostępnianiu zbiorów, nie można zapomnieć o krytycznym aspekcie, jakim jest przestrzeganie prawa. Odnosi się to szczególnie do zbiorów archiwalnych powstałych po wojnie i zawierających dane wrażliwe, a także do książek. Przykładem może być tu zespół 349 – Dział Dokumentacji Odznaczeń Yad Vashem w ŻIH 1979–2004. Z jednej strony jest to kluczowy zespół, który wymaga digitalizacji, z drugiej jego udostępnienie jest praktycznie niemożliwe ze względu na ochronę danych osobowych. Jednak warto pamiętać, że samo zdigitalizowanie takiego zespołu bez udostępniania go i tak wpływa na zwiększenie jego dostępności dla badaczy.

**Opracowanie zbiorów na potrzeby udostępniania.** Stopień skomplikowania tego procesu zależy w dużej mierze od tego, jaki jest cel digitalizacji zbiorów. Jeśli planujemy przechowywać skany tylko do wykorzystania przez pracowników instytucji, wystarczające może okazać się częściowo zautomatyzowane nadawanie tytułów i sygnatur w trakcie procesu digitalizacji. Jeśli planujemy udostępnienie ich w publicznie dostępnym repozytorium, niezbędny będzie znacznie bardziej szczegółowy opis zgromadzonych materiałów. Od tego, jak dokładnie zostaną opisane zbiory, zależy, czy użytkownik da radę w ogóle je odnaleźć, a tym samym – skorzystać z nich. W idealnej sytuacji oprócz samego opisu zamieszcza się materiały poddane OCR-owi (ang. *Optical Character Recognition* – **optyczne rozpoznawanie znaków**), dzięki czemu można je przeszukiwać z zastosowaniem wyszukiwania pełnotekstowego (każde słowo w zbiorze jest wyszukiwalne). Najnowocześniejsze systemy, wykorzystywane na przykład przez Google, pozwalają nawet na odczytanie pisma ręcznego (w tym pisma jidysz i hebrajskiego) i jego automatyczną – choć jeszcze niedoskonałą – transkrypcję na dowolny język. Jeśli jednak nie mamy dostępu do tak zaawansowanej technologii, to proces wymaga bardzo dużo pracy, przede wszystkim przy kontroli zdigitalizowanych materiałów. Obecnie w ŻIH zdecydowano się na zastosowanie tej metody jedynie przy części tomów pełnej edycji Archiwum Ringelbluma. Bardzo istotna jest też jakość opisów zbiorów. Źle lub niedokładnie opisane zbiory mogą wprowadzać w błąd osoby korzystające z nich, a tym samym prowadzić do niezgodnej z prawdą interpretacji.

**Udostępnianie.** Procesem ściśle związanym z digitalizacją jest późniejsze udostępnianie materiałów. To, w jakiej formie je zaprezentujemy, ma istotny wpływ na to, do jakiej grupy trafią, a także kto i jak będzie z nich korzystał. Przede wszystkim musimy zastanowić się, czy chcemy udostępniać materiały jedynie w siedzibie instytucji, czy też umieścić je on-line. W wypadku udostępniania zbiorów on-line istotny jest kontekst, czyli inne udostępniane materiały. Zupełnie inaczej wygląda jedna relacja o Polakach ratujących Żydów w kolekcji kilkuset innych, a zupełnie inaczej, gdy wszystkich relacji mamy tylko kilka. Ważne jest też repozytorium, w którym prezentujemy wybrane materiały. Inny kontekst będzie miała syjonistyczna prasa żydowska w Polonie, gdzie będziemy mogli ją porównać z innymi czasopismami z tego okresu, a inny w repozytorium ŻIH, w którym dokonanie takiego porównania nie będzie możliwe.

Żydowski Instytut Historyczny prowadzi dwa repozytoria cyfrowe, Centralną Bibliotekę Judaistyczną ([www.cbj.jhi.pl](http://www.cbj.jhi.pl)) i Delet ([www.delet.jhi.pl](http://www.delet.jhi.pl)). Oba opierają się o tę samą bazę danych, jednak prezentują zbiory w odmienny sposób i służą różnym grupom użytkowników.

Prace nad stworzeniem Centralnej Biblioteki Judaistycznej rozpoczęły się w 2013 roku. CBJ jest wieloletnim projektem, którego celem jest digitalizacja i udostępnienie on-line jak największej części zasobów bibliotecznych, archiwalnych i muzealnych. W ramach tworzenia CBJ, we współpracy z NASK (Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa), został stworzony autorski program do prezentacji on-line zdigitalizowanych materiałów. Program ten pozwala nie tylko na udostępnienie zbiorów, lecz także na ich opracowanie i opisanie odpowiednimi metadanymi i powstaje dzięki

**Wynika z tego zatem, że umieszczanie dokumentów on-line jest częścią zarówno budowania polityki historycznej, jak i kształtowaniu „społecznych ram pamięci”. Jest to szczególnie ważne w wypadku stosunków polsko-żydowskich, które z biegiem lat stały się sprawą nie tylko historyczną, lecz także tożsamościową.**

wspieraniu Stowarzyszenia ŻIH, a także z wykorzystaniem funduszy EOG. Jest to projekt kierowany do badaczy i specjalistów.

Nowszy projekt – Delet – został rozpoczęty w 2016 roku jako działanie towarzyszące otwarciu wystawy stałej i stanowił jedno z największych wyzwań, z jakimi zmierzaliśmy się w ciągu całego okresu działania Działu Digitalizacji Zbiorów. Pierwsza faza projektu została zakończona w 2017 roku otwarciem Portalu Delet, na którym znajdują się wszystkie materiały z Podziemnego Archiwum Getta Warszawskiego – zdigitalizowane w bardzo wysokiej jakości – wraz z pełnym opisem archiwalnym. Jednak prace nad Archiwum on-line nadal trwają – tworzone są materiały edukacyjne, a same dokumenty opatrywane są słowami kluczowymi ułatwiającymi ich przeszukiwanie. W ramach drugiej części projektu została zdigitalizowana i opracowana kolekcja Berlinka – ikonograficzne archiwum przedwojennego Muzeum Żydowskiego w Berlinie. Głównym celem portalu jest stworzenie platformy edukacyjno-popularyzacyjnej pozwalającej na przedstawienie historii Oneg Szabat – grupy odpowiedzialnej za stworzenie Archiwum Ringelbluma. System pozwala na zrealizowanie tego celu poprzez zaawansowane opcje tworzenia lekcji, warsztatów i oprowadzań kuratorskich. Ze względu na specyfikę dokumentów z Archiwum Ringelbluma, które często są trudne lub nawet niemożliwe do odczytania, do systemu zostały zaimplementowane narzędzia pozwalające na graficzną edycję skanów. Pozwalają one na obracanie skanów, tworzenie lustrzanego odbicia, filtrowanie kolorów oraz korektę jasności i kontrastu. Celem tego projektu jest dotarcie do osób zainteresowanych historią i kulturą Żydów, a także do edukatorów i nauczycieli.

Jak widać, digitalizacja, choć wydaje się nie być ściśle powiązana z badaniami naukowymi, może mieć na nie istotny wpływ. Z jednej strony, umieszczanie źródeł on-line ułatwia pracę badawczą – można korzystać z wielu bibliotek na całym świecie bez wychodzenia z domu – z drugiej zaś strony, te źródła, z których korzystamy, często nie są kompletne i stanowią jedynie efekt czyjegoś wyboru źródeł. Warto też pamiętać o poziomie skomplikowania tego procesu. By w repozytorium on-line pojawiła się jednateczka archiwaliów, potrzeba pracy wielu osób – archiwistów, skanerzystów, bibliotekarzy cyfrowych i naukowców. Wynika z tego zatem, że umieszczanie dokumentów on-line jest częścią zarówno budowania polityki historycznej, jak i kształtowaniu „społecznych ram pamięci”. Jest to szczególnie ważne w wypadku stosunków polsko-żydowskich, które z biegiem lat stały się sprawą nie tylko historyczną, lecz także tożsamościową.

W tym roku nadajemy naszej pracy nad digitalizacją nowy wymiar. Na podstawie zdigitalizowanych obiektów powstała wystawa plenerowa *Serce tamtego miasta. Kolekcja Żydowskiego Instytutu Historycznego*. Jest ona dobrym przykładem tego, że kolekcje cyfrowe nie są jedynie zbiorem danych, ale też podstawą do tworzenia nowej historii. ■

# Tragedia Cap Arcony

**ANNA M. ROSNER**

3 maja 1945 roku, trzy dni po samobójczej śmierci Hitlera i pięć dni przed wejściem w życie aktu bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy, w Zatoce Lubeckiej doszło do bezprecedensowego wydarzenia, dziś praktycznie zapomnianego. Port i okalające go wody pozostawały jednym z ostatnich niezdobitych bastionów nazistowskich Niemiec. Stało tam na kotwicy wiele jednostek, zarówno okrętów Kriegsmarine, jak i statków pasażerskich czy handlowych. Te cywilne w większości zagospodarowano już wcześniej na potrzeby wojenne, były wśród nich Deutschland, Thielbeck i największa na miejscu – Cap Arcona.

Jednostka ta wybudowana została przez Hamburg Südamerikanische Dampfschiffahrts-Gesellschaft A/S & Co KG (Hamburg-Süd), istniejące do dziś przedsiębiorstwo żeglugowe, które przed II wojną światową zajmowało się przede wszystkim transatlantyckimi przewozami pasażerskimi. Na wykonawcę wybrano Blohm + Voss, firmę stoczniową i inżynierską operującą w porcie, w którym Hamburg-Süd miał swoją główną siedzibę. Zadanie postawione przed inżynierami Blohm + Voss było jasne – wybudować liniowiec transoceaniczny, który przyćmi swoim blaskiem Titanica i stanie się dowodem, że nękana kryzysem gospodarka niemiecka ma się coraz lepiej, a to, co niemieckie, raz jeszcze staje się wielkie i wspaniałe.



Był 14 maja 1927 roku, gdy oficjalnie zwodowano giganta, ochrzczonego zgodnie z tradycją Hamburg-Süd po jednym z przylądków. Wydarzenie uwieczniono kamerami, a nagranie włączono do materiałów niemieckiej kroniki filmowej (dziś można je bez problemu znaleźć w Internecie). Cap Arcona mogła przewozić 575 pasażerów pierwszej klasy i (w zależności od okresu i modyfikacji) od 465 do 850 drugiej. Miała 206 m długości i 25,8 szerokości. Jej maksymalne zanurzenie wynosiło 8,7 m, a największa osiągalna prędkość 20 węzłów (czyli 37 km/h), wszystko dzięki ośmiu nowoczesnym turbinom parowym o wydajności ponad 17 tys. kW napędzającym dwie olbrzymie śruby.

Nauczeni tragedią Titanica inżynierowie wyposażyli Cap Arconę w 26 szalup. Statek był wielokrotnie modyfikowany, m.in. w 1930 roku, kiedy to zamontowano urządzenia do prowadzenia podwodnej kontroli akustycznej oraz do bezprzewodowego radionamierzenia pozwalającego ustalić położenie liniowca na oceanie oraz obrany przezeń kurs. W roku 1934 dodano żyrokompas i echosondę informującą załogę o podwodnych przeszkodach i odległości od dna. Wszystkie te urządzenia w latach 30. były najnowszymi osiągnięciami technologicznymi i teoretycznie na liniowcu pasażerskim nie były potrzebne. Wykorzystywano je jednak na dwa sposoby: do podnoszenia prestiżu jednostki oraz do prowadzenia testów technicznych i usprawniania konstrukcji wynalazków. Warto tu dodać, że nie tylko żyrokompas czy echosonda wpływały na renomę statku. Cap Arcona, potocznie zwana „perłą Atlantyku” lub „pływającym pałacem”, naprawdę była niezwykle luksusowym liniowcem. Jak na taki przystało, zapewniała pasażerom wszelakie rozrywki, m.in. w salach koncertowo-tanecznych, gdzie organizowano np. koncerty jazzowe, w kasynie, na basenie czy korcie do tenisa i shuffleboarda (gry, w której uczestnicy przesuwają obciążone krążki po drewnianej powierzchni, celem jest zatrzymanie ich w wyznaczonym obszarze punktacji). Przewożono na jej pokładzie samochody i zwierzęta pasażerów, a korespondencję i gazety codziennie dostarczał wodolot.

Głównodowodzącymi Cap Arcony przed 1939 rokiem byli kolejno komodor floty Hamburg Süd Ernst Rolin i drugi komodor Richard Niejahr. Niejahr zastąpił Rolina w październiku 1933 roku, gdy ten zrezygnował z dalszego dowodzenia jednostką na znak protestu po dojściu do władzy nazistów. Co ciekawe, Adolf Hitler, miłośnik nie tylko statków i okrętów, lecz także wszystkiego, co rozmiarem dowodziło wielkości Rzeszy, pozwolił takim firmom jak Hamburg Süd pracować bez przeszkód. Na pokładach liniowców nie wprowadzono na przykład zakazu podróżowania pierwszą klasą wobec osób niebędących Niemcami, a od oficerów nie wymagano zapisania się do NSDAP. Do końca zresztą Cap Arcona znajdowała się pod komendą cywilnego – choć zmuszonego do pracy dla marynarki wojennej – kapitana.

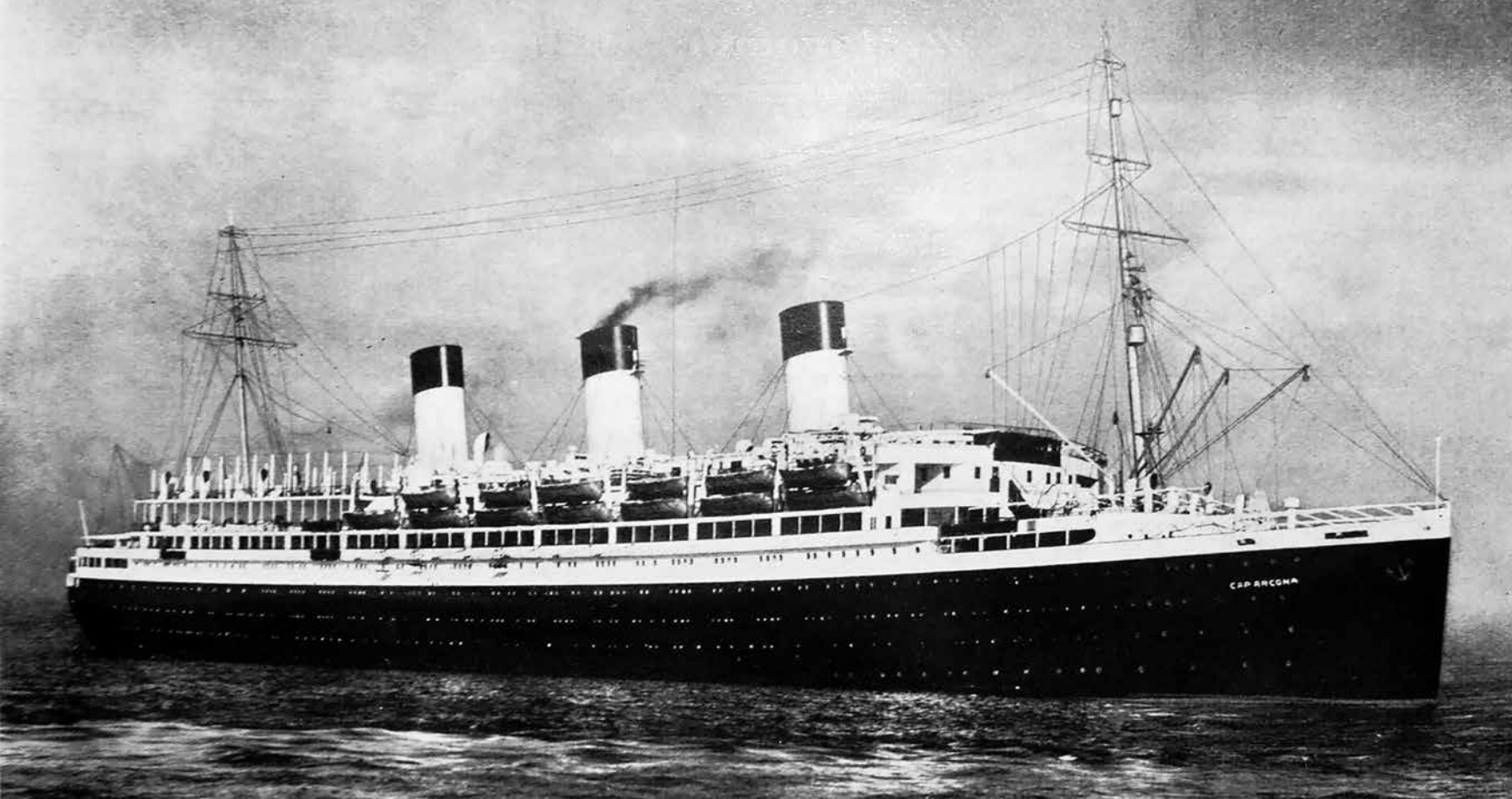
Przez prawie dekadę Cap Arcona przynosiła armatorowi niemałe zyski, przewożąc przez Atlantyck

zamożnych pasażerów. W roku 1936 pojawiły się jednak pierwsze kłopoty. W czasie igrzysk olimpijskich w Berlinie na szeroko rozumianym Zachodzie – głównie w USA – zaczęto postrzegać reżim hitlerowski jako „zły” i niegodny zaufania. Choć Berlin miał wówczas wyglądać jak normalne, bogate, wesołe i zrelaksowane miasto, wielu zrozumiało, że była to tylko zasłona, pod którą kryły się autorytarne rządy, prześladowania i terror. Pod wpływem dochodzących z Europy wieści pochodzący spoza Niemiec pasażerowie zaczęli wybierać statki należące do innych armatorów – tylko po to, by pokazać swój sprzeciw wobec nazistowskiej polityki. Jednocześnie w Rzeszy już w tym okresie zabroniono niektórym obywatelom wyjeżdżać poza granice kraju. Dodatkowo to, co działo się na pokładzie – jazzowe koncerty, gry i zabawy, wystawne bankiety – zaczęto postrzegać jako „frywolność” stojącą w sprzeczności z wizerunkiem ciężko pracującego dla dobra swej ojczyzny „aryjczyka”. Cap Arcona i jej armator tracili zatem klientów zagranicznych i krajowych.

Liniowiec dość szybko przykuł uwagę członków reżimu. Od roku 1933 na terenie Rzeszy pręźnie funkcjonowała *Kraft durch Freude* (niem. Siła przez radość), organizacja utworzona przez Roberta Ley'a po zlikwidowaniu związków zawodowych, która zajmowała się m.in. masowymi imprezami sportowymi i turystycznymi. Jej najważniejszym zadaniem było (poza zajęciem olbrzymiej liczby robotników czymś, co pozwoliłoby im nie myśleć o braku związków zawodowych i innych zachodzących w ich świecie negatywnych zmianach) budowanie w społeczeństwie zdrowia, tężyzny, siły psychicznej i fizycznej, a także chęci do rywalizacji, a nawet walki. *Kraft durch Freude* specjalizowała się m.in. w organizowaniu zajęć sportowych, ułatwiała zakup biletów na wydarzenia kulturalne, opiekowała się lokalnymi grupami teatralnymi, promowała wszelaką sztukę tworzoną przez „zwykłych ludzi”, szczególnie jeśli ukazywała ona urodę niemieckiej wsi albo przynajmniej wpisywała się w faworyzowany kanon piękna. Ponadto robotników należących do partii, a także tych odznaczających się wzorową pracą oraz postawą wysyłała na darmowe wakacje w niemieckich ośrodkach wypoczynkowych poza granicami III Rzeszy albo na rejsy m.in. MS *Wilhelm Gustloffem*. Rzecz jasna Żydzi byli wykluczeni z jej grona.

To *Kraft durch Freude* przysłała z pomocą Hamburg Süd, gdy firma popadła w kłopoty finansowe. Organizacja wykupywała rejs liniowcem, a ten wioził zasłużonych obywateli na krótkie wczasy, np. do Włoch czy Jugosławii. Armator starał się łączyć tę aktywność z rejsami do Argentyny, które – choć coraz mniej opłacalne finansowo – pozwalały firmie pozostać w obiegu. Do września 1939 roku Cap Arcona przewiozła przez ocean ponad 50 tys. pasażerów.

Wraz z wybuchem wojny, dokładnie tak samo jak w 1914 roku, przeważająca większość cywilnych jednostek, szczególnie o dużym tonażu, została przymusowo wcielona do *Kriegsmarine*. Nie planowano ich rzecz jasna wysyłać do walki, nie były opancerzone



### Liniowiec Cap Arcona, 1927

ani przystosowane do zamontowania na ich pokładach broni, mogły jednak być pływającymi barakami, szpitalami wojskowymi czy działac na liniach zaopatrzenia. Cap Arcona podzieliła los wielu z nich, stając się pływającą noclegownią Wehrmachtu. W roku 1940 skierowano ją do portu w Gdyni (Gotenhafen), gdzie zdemontowano całe bogate wyposażenie, rozkradziono to, co tylko się dało, a resztę po prostu zdewastowano. Liniowiec już tylko z zewnątrz przypominał to, czym był na przełomie lat 20. i 30., a jego los przypieczętowała informacja przesłana z Kriegsmarine do Hamburg Süd mówiąca o „przejęciu liniowca na stałe”. Dowodzący nią wówczas komodor Niejahr bez trudu zrozumiał, że oznaczało to brak planów ponownego wysłania Cap Arcony na jakiegokolwiek wody i skazanie jej na rdzewienie przy gdyńskim nabrzeżu. W roku 1941 przyszedł rozkaz, by prawie wszyscy marynarze liniowca zeszli na ląd. Niejahr zmarł w kwietniu 1942 roku. Po długich poszukiwaniach nowym kapitanem mianowano Johannes Gerdtsa.

Rok 1943 przyniósł niespodziewany zwrot w losach Cap Arcony i dał jej szansę zmierzyć się ze swym pierwowzorem – Titanikiem. Minął właśnie rok od bitwy o Anglię, jednego z – jak dziś wiadomo – kluczowych momentów II wojny światowej, a jak wówczas uważano – porażki każącej odłożyć na „czas nieokreślony” i tak nieuniknioną inwazję na Wyspy Brytyjskie. Wśród mieszkańców Rzeszy panowało przekonanie, że pokonanie Brytyjczyków będzie niezmiernie trudne. Operacja Lew morski zakończyła się klęską, RAF jako jedyny

zdołał skutecznie odeprzeć napór niezwycięzonej do tego momentu Luftwaffe i nic nie wskazywało na to, by dało się tą drogą pokonać wroga (Brytyjczycy dysponowali systemem radarów i siecią szybkiego reagowania, o których istnieniu naziści wiedzieli, ale których skali i dokładności nie rozumieli). Stawało się oczywiste, że do zwycięstwa z Wielką Brytanią niezbędny będzie desant lądowy. To zaś wymagałoby przeprawienia się przez kanał La Manche i stawienia czoła Royal Navy, a tej marynarki jeszcze nikt nie pokonał.

Właśnie wtedy Joseph Goebbels wpadł na to, jak pokazać żołnierzom i ich rodzinom, że nie taki diabeł straszny. Postanowił wprowadzić do propagandy wizyrunek nieudolnych, chciwych Brytyjczyków, których marynarka – zarówno wojskowa, jak i cywilna – zdążyła do upadku. Wybrał do tego jedno ze swoich ulubionych narzędzi – film. Warto tu dodać, że zarówno on, jak i Hitler byli miłośnikami kinematografii i choć w III Rzeszy zakazano amerykańskich filmów, to oni sprowadzali na własny użytek najnowsze hollywoodzkie produkcje. Obywatele zaś mogli oglądać to, na co pozwalała propaganda. By zachęcić ludzi do chodzenia do kin, nie nacjonalizowano ich, nałożono za to liczne restrykcje. Ich właściciele mogli pokazywać wyłącznie filmy zaakceptowane przez Ministerstwo Propagandy i Oświecenia Publicznego, a przed seansem pokazywano kroniki filmowe lub krótkie produkcje propagandowe.

Jednym z celów Goebbelsa było stworzenie w Rzeszy ośrodka produkcji kinowej mogącego konkurować z Amerykanami, a w końcu pokonać ich na tym

polu. Podobnie jak wiele nazistowskich planów, była to mrzonka, a na przeszkodzie do realizacji stawały wysokie koszty, przepaść technologiczna, trudności z dostępnością taśm czy kamer i – a być może przede wszystkim – braki w personelu. Ludzie tacy jak Marlena Dietrich, Greta Garbo, Billy Wilder czy Fred Zinnemann wyjechali z Rzeszy dobrych kilka lat wcześniej, na miejscu zostało niewielu wysokiej rangi specjalistów, zaś większość aktorów, reżyserów czy pracowników technicznych nie radziła sobie najlepiej.

Jedną z osób, które chcącemu skupić się na Brytyjczykach Ministrowi Propagandy wydały się warte uwagi, był Harald Bratt, scenarzysta od lat interesujący się tragedią *Titanica* i marzący o nakręceniu filmu o tym liniowcu. Zbliżająca się trzydziesta rocznica zatonięcia giganta wydawała się idealną okazją, by pozwolić mu na zrealizowanie planu. Na reżysera obrazu wybrano Herberta Selpina, człowieka humorzystego i wybuchowego, lecz znającego się na rzeczy, robiącego filmy z rozmachem i co ważne, posiadającego doświadczenie w produkcjach marynistycznych.

Fabała mającego premierę w 1943 roku *Titanica* jest banalna, żeby nie powiedzieć naiwna – oto pierwszy oficer Petersen, jedyny Niemiec na pokładzie, dostrzega potencjalne zagrożenie wynikające z wyścigu o Błękitną Wstęgę Atlantyku. Namawia kapitana, by odmówił pędzenia przez ocean usiany górami lodowymi. Ten jednak okazuje się człowiekiem słabym i uległym, odprawia Petersena, godząc się na wszystko, co dyktuje mu właściciel zarządzającego statkiem *the White Star Line*. Jednocześnie zamożni Brytyjczycy obecni na pokładzie łamią wszelkie zasady bezpieczeństwa, dbając jedynie o własne kieszenie i mnożenie majątku. Gdy dochodzi do zderzenia, Petersen praktycznie zarządza ewakuacją, w ostatniej chwili ratuje też dziewczynkę o klasycznie aryjskim wyglądem. W końcu odnajduje na pokładzie i zmusza do wejścia do szalupy zarządcę armatora i sam, walcząc z wyrzutami sumienia, zajmuje miejsce obok niego. Robi to wyłącznie po to, by w ostatniej scenie stanąć przed sądem i domagać się sprawiedliwości w imieniu ofiar katastrofy.

Selpin rzeczywiście okazał się sprawnym reżyserem, a jego obietnice przedstawienia superprodukcji na miarę Hollywood były tak przekonujące, że szybko zyskał protekcję Goebbelsa i to tak silną, że momentami ocierającą się o groteskę. Choć film powstać miał w całości w jednym z największych studiów filmowych Rzeszy, reżyser zażądał pozwolenia na prace na powietrzu i domagał się wybudowania olbrzymiego modelu *Titanica*. Gdy go otrzymał, okazało się, że studia nie dysponują basenem o odpowiednio dużych rozmiarach. Selpin przeniósł się więc nad jezioro Scharmützel w Brandenburgii, nakazał przy tym wybudowanie pochylni, dzięki której sztuczny liniowiec mógłby zostać „zwodowany”, oraz mechanizmu pozwalającego go wielokrotnie zatopić. Model miał własne oświetlenie, rozpalano w nim ogień, by z kominów ulatniał się dym. Mimo obowiązującego na terenie całej Rzeszy zaciemnienia Selpin domagał się, by zdjęcia odbywały się nocą, przy silnych

reflektorach. W końcu, nie mogąc znieść tego, jak marny efekt osiągał, zażądał zezwolenia na filmowanie na *Cap Arconie*. Minister propagandy wymusił na naczelnym dowódcy *Kriegsmarine* Karlu Dönitzu nie tylko udzielenie zezwolenia, lecz także odmalowanie statku tak, by wyglądał jak *Titanic*. Reżyser doprowadził do wprowadzenia godziny ciszy w gdyńskim porcie i znów używał silnych reflektorów, które wabiły alianckich pilotów. Dönitz był wściekły, Gdynia bowiem była portem wojskowym i na kotwicy stały tam, teraz narażone na atak, okręty wojenne. Goebbels jednak cały czas się nie zrażał i wyraził nawet zgodę na położenie *Cap Arcony* na burcie, by Selpin mógł sfilmować moment zatonięcia liniowca.

Na plan filmowy wróciły bogate meble, zastawy, rośliny. Dostawiono nawet czwarty komin, tyle bowiem miał *the Titanic*, a *Cap Arcona* posiadała tylko trzy. Koniec końców fanaberie Selpina sprawiły, że *Titanic* stał się najdroższym filmem propagandowym w historii. Miarka przebrała się dopiero gdy reżyser, wściekły z powodu m.in. przypadków pijaństwa na planie, na którym statystowali żołnierze *Wermachtu*, zaczął pomstować na politykę III Rzeszy i jej przywódców. Został aresztowany i zmarł w celi, jak mówiono oficjalnie – śmiercią samobójczą (w rzeczywistości został powieszony prawdopodobnie jeszcze w dniu aresztowania).

Film ukończył Werner Klingler. Ostatnie ujęcia wykonano w październiku 1942, montaż zamknął się w grudniu 1942 roku. Film miał wejść do kin na początku 1943 roku, a machina reklamowa już od pewnego czasu działała pełną parą. Dzieło, w którym Goebbels pokładał tyle nadziei i w które wpompował tyle pieniędzy, okazało się jednak klapą i to na wielu poziomach. Scenariusz był naiwny, aktorzy grali drętwo i bez polotu, dialogi wyszły sztucznie, a najlepiej na planie ze swojego zadania wywiązała się *Cap Arcona*. Co więcej ukończenie prac przypadło na okres, w którym gospodarka Rzeszy była w stanie rozkładu, braki na rynku dotyczyły niemalże wszystkiego i ludzie najzwyczajniej nie chcieli wydawać pieniędzy na bilety do kina. Gwoździem do trumny była jednak uwaga rzucona na jednym z zamkniętych pokazów przeznaczonych dla najważniejszych osób w państwie. Tragedię transatlantyku uważanego za niezniszczalny i niezatapialny, który mimo wszystko poszedł na dno i to zabierając ze sobą tak wiele istnień, odebrano jako metaforę „Tysiącletniej Rzeszy”, teraz powoli chylącej się ku upadkowi i ciągnącej ze sobą niezliczone ofiary. Postacie brytyjskich chciwców skupionych wyłącznie na zysku przywoziły z kolei na myśl wierchuszkę Rzeszy nie liczącą się z życiem żołnierzy, opływającą w dobra i grabiącą prywatne kolekcje oraz muzea ze wszystkiego, co cenne.

Film pokazano tylko kilkakrotnie – jesienią 1943 roku był wyświetlany na terenach okupowanej Francji, gdzie bił rekordy popularności – sale pękały w szwach, a ludzie ustawiali się w kolejkach, by kupić bilet. Już wtedy jednak zaczęto podejrzewać, że robili to po to, by naśmiewać się z „megaprodukcji” i upadku niemieckiego przemysłu filmowego. Taśmy z kopiami



FOT. J.MHK-OSM, LICENCJA CC BY-SA 4.0 DEED, HTTPS://CREATIVECOMMONS.ORG/LICENSES/BY-SA/4.0/DEED. EN

### Pomnik ku czci ofiar tragedii na Cap Arkonie w Klütz

zamknięto w archiwach jeszcze przed końcem wojny. Znalaziono je przypadkiem w 1949 roku i kilkakrotnie pokazano w NRD w 1955 roku. Ponownie natrafiono na nie pięćdziesiąt lat później, poddano renowacji, a ponieważ zachowały się w złym stanie, pocięto tak, by po montażu uzyskać jedną, dobrej jakości kopię. Dziś dostępne są w Internecie dwie wersje – oryginalna i po koloryzacji.

Historia Cap Arcony nie skończyła się jednak wraz z ostatnim kłapsem filmu. Na początku 1945 roku Karl Dönitz i viceadmirał Konrad Engelhardt zezwolili na przeprowadzenie Operacji Hannibal, która dziś uznawana jest za największą ewakuację w historii. Obejmowała ona głównie żołnierzy wraz z rodzinami oraz cywilów osiedlanych wcześniej na wschodnich rubieżach Rzeszy. Prowadzono ją drogą morską, przez bałtyckie porty. Mimo że Kriegsmarine utraciła kontrolę nad akwenem i coraz częściej pojawiały się na nim sowieckie okręty (w tym podwodne), uznano tę drogę za najbezpieczniejszą. W operacji wzięło udział wiele jednostek, a ponieważ marynarka dysponowała coraz mniejszą liczbą okrętów, które zresztą potrzebne były gdzie indziej, postanowiono wykorzystać statki, a nawet łodzie rybackie. Jedną z najbardziej znanych jednostek,

która wzięła udział w ewakuacji, był MS Wilhelm Gustloff, który został zatopiony w rejonie Ustki 30 stycznia 1945 roku z – jak się szacuje – około dziewięćmioma tysiącami osób na pokładzie. Obok niego w Operacji Hannibal udział brała Cap Arcona.

To w tym okresie ponownie usunięto z pokładu wszystkie zbędne elementy, w tym dekoracje pozostałe po pracach Selpina. Kapitan Johannes Gerdtz otrzymał prosty rozkaz – przetransportować jak najwięcej uciekinierów z Gdyni do Danii. Tam miał uzupełnić zapasy i ponownie wyjść w morze. Szacuje się, że w trzech rejsach Cap Arcona zabrała prawie 26 tys. uchodźców. Została nieznacznie uszkodzona miną morską, a pod koniec akcji jej turbiny, od początku wojny niepoddane renowacji, ostatecznie zaczęły odmawiać pracy.

13 kwietnia Cap Arcona wyruszyła w swój ostatni rejs, do Zatoki Lubeckiej. Rzuciła kotwicę dzień później nieopodal Neustadt, gdzie stały już dwa inne statki wcześniej także użyte do ewakuacji: SS Thielbek i SS Deutschland.

Wybór zatoki nie był przypadkowy. Chodziło o bliskość Konzentrationslager Neuengamme, obozu pracy istniejącego od 1938 roku, początkowo funkcjonującego jako filia KL Sachsenhausen, później samodzielnego.

Najpierw przetrzymywano w nim przede wszystkim więźniów politycznych, homoseksualistów, komunistów itp., latem 1940 roku pojawiły się pierwsze transporty z ziem okupowanych przywożące więźniów przenoszonych z innych obozów pracy. W roku 1942, w odpowiedzi na wzrost zapotrzebowania na siłę roboczą, zaczęto otwierać podobozy Neuengamme – było ich w sumie około osiemdziesięciu, a jeden z nich obsługiwał stocznice odpowiedzialną za powstanie Cap Arcony. W roku 1944 do Neuengamme wywieziono ok. 13 tys. polskich i węgierskich Żydów, a pod koniec tego samego roku w obozie i jego filiach przetrzymywano już łącznie 47–51 tys. ludzi. Wiosną 1945 roku, w związku z przesuwaniem się linii frontu w stronę Hamburga, SS rozpoczęło ewakuację obozu. W tym okresie zostało już niewiele miejsc mogących przyjąć jakichkolwiek więźniów. Zmagając się z tym problemem, ok. 9 tys. z nich wysłano do Lubeki. Za wykonanie rozkazu odpowiadał osobiście Max Pauly, komendant KL Neuengamme. Do marszu śmierci dołączyli więźniowie z Mittelbau-Dora i Stutthofu, głównie Żydzi i jeńcy z Armii Czerwonej.

20 kwietnia wydano rozkaz rozpoczęcia przewożenia więźniów na pokłady zakotwiczonych w zatoce statków. Kapitan Cap Arcony (był nim wtedy Heinrich Bertram) odmówił przyjęcia ich na pokład (nie opuścił trapów ani drabin do szalup, a burty liniowca były zbyt wysokie, by pokonać je w inny sposób). Jego opór trwał sześć dni. Najważniejszym powodem, dla którego odmawiał, była troska o sam statek. Nie poinformowano go, ani jak wielu więźniów miał przyjąć, ani na jak długo. Ich stan oraz sposób, w jaki byli traktowani, były dla niego szokujące. W końcu Bertram, jako cywilny kapitan, żył przekonaniem, że jest odpowiedzialny za swoją załogę i jednostkę. Ta wycierpiała już tak wiele, że gotów był bardzo dużo zaryzykować, by ocalić ją przed dalszymi zniszczeniami. Ponadto na pokładzie brakowało wszystkiego, a przede wszystkim wody, żywności i paliwa. W końcu, gdy zagrożono mu rozstrzelaniem rodziny, pozwolił wejść na pokład strażnikom obozowym i więźniom. Nie wiedział wówczas, że na Cap Arconę planowano przewieźć między 7 a 8 tys. osób.

Po kilku dniach wpuszczania więźniów na pokład i rozłokowywania ich na statku kapitan ponownie się zbuntował. Na liniowcu znajdowało się ich wówczas ok. 5 tys. Zajmowali kajuty, spali w jadalniach, bawialniach, na korytarzach i w przestrzeni ładunkowej. Toalety nie działały, nie było komu wynosić zwłok zmarłych z głodu, chorób i wycieńczenia, smród był tak silny,

że pilnujący więźniów obozowi strażnicy i SS-mani odmówili przebywania na statku. Zastąpiono ich członkami Volkssturmu. Kapitan zażądał spotkania z oficerami SS. Ci co prawda przybyli na pokład i przeprowadzili inspekcję, zamiast jednak wysłuchać Bertrama, zagrozili mu bronią, następnie nakazali pociąć gumowe szalupy i zdemontować wszystkie elementy statku, które mogłyby unosić się na wodzie. To oraz niespodziewana dostawa potężnej ilości paliwa (był to jeden z towarów, których najbardziej wówczas brakowało) – i to mimo niedziałających silników – na przełomie kwietnia i maja, przekonało zarówno załogę, jak i więźniów, że Cap Arcona miała zostać ostrzelana, a oni zamordowani. Być może w tym właśnie momencie kapitan zaczął zachowywać się jeszcze „dziwniej”. Rozkazał swoim ludziom poukrywać tak dużo desek i innych pływalnych materiałów, jak tylko dali radę. Z zachowanych relacji ocalałych wiadomo także, że przekazywał więźniom docierające do niego informacje, na przykład tę o śmierci Hitlera. W końcu, w kluczowym momencie, rozkazał załodze pootwierać wszystkie drzwi, kraty i włazy, dzięki czemu więźniowie mogli podjąć próbę ucieczki z płonącego wraku.

Nie jest do końca jasne, co o liniowcu i o tym, co się na nim działo, wiedzieli alianci. Wyzwalając okolice Lubeki, pojedyncze oddziały znajdowały ewakuowanych z Neuengamme więźniów. Pozostawione przez nich relacje mówią, że informowali żołnierzy o przetrzymywanych na pokładach statków ludziach. Dodatkowo w czasie powojennego procesu kapitan Bertram potwierdził, że na kilka dni przed tragedią wysłał potajemnie na łód dwóch ludzi – jeden miał za zadanie porozmawiać z oficerami Wehrmachtu, drugi dotrzeć do oficerów wojska alianckiego. Mężczyźni po kilku dniach wrócili na pokład, zrelacjonowali przebieg wyprawy i opowiedzieli, jak spotkali się z kategoryczną odmową zajęcia się statkami. Obie strony konfliktu miały ważniejsze zadania. W końcu zdjęcia samolotowe portu wykonywane przez brytyjski wywiad jednoznacznie ujawniały koncentrację ludności w jego okolicach i jej „znikanie”. Analizując to zjawisko, mówiono o tym, że ludzie musieli być gdzieś przenoszeni, wywiad wskazywać miał właśnie na statki.

Wczesnym rankiem 3 maja piloci czterech eskadr RAF-owskiej 83. Grupy Drugich Taktycznych Sił Powietrznych dostali rozkaz lotu nad Zatokę Lubecką. Mieli zbombardować skoncentrowane tam wrogie okręty. Poinformowano ich, że nie napotkają jednostek Royal Navy, mogą za to spotkać statki Czerwonego

Krzyża, do których nie wolno strzelać. Dla wprawnych pilotów odróżnienie statku pasażerskiego od okrętu wojennego było proste, tak samo jak zorientowanie się, która z jednostek należy do Czerwonego Krzyża, jednak piloci wykonujący lot tego dnia byli stosunkowo niedoświadczeni.

Zrobili cztery nawroty, za każdym razem zrzucając część bomb. W zatoce stało tak wiele jednostek – od łodzi rybackich po U-booty – że, nie wiedząc, na czym powinni się skupić, ostrzeliwali przede wszystkim te największe, w tym Cap Arconę i Deutschland. Podejrzewano bowiem, że naziści mogą wykorzystać je, by przerzucić swoich najważniejszych polityków do Norwegii (było to zgodne z podejrzeniem, że mogą próbować fortyfikować się w fiordach, by stamtąd dalej prowadzić wojnę lub negocjować pokój).

Jako pierwszy ostrzelany został Deutschland. W drugim nalocie najbardziej ucierpiał Thielbeck. W trzecim za cel obrano Cap Arconę. Trafiono ją czterdzieści razy. Pierwsze pociski upadły między pierwszym a drugim kominem, następne na trzeci. Wnętrze transatlantyku w znacznym stopniu wykończono drewnem. To oraz intensywność ostrzału spowodowały, że w zaledwie kilka minut Cap Arconę ogarnęły płomienie. System automatycznego wypompowywania wody i zraszacze przeciwpożarowe od dawna nie działały. Więźniowie na najniższych pokładach nie mieli szans. Ci z wyższych próbowali wydostać się na zewnątrz. Załoga, jak już wspomniano, na rozkaz kapitana potwierała drzwi i wewnętrzne kraty, ułatwiając ucieczkę. Układ liniowca był jednak tak skomplikowany, że trafienie na zewnątrz w znacznym stopniu zależało od szczęścia osoby próbującej wydostać się z płomieni.

W swoich wspomnieniach więźniowie pisali, że ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie, a powietrze pod pokładem szybko stało się zbyt gorące, by dało się nim oddychać. Wszędzie unosił się także czarny dym. Ci, którym udało się wydostać, próbowali przejść na pokład niewielkiej łodzi wykorzystywanej do transportowania prowizji dla załogi. Sam kapitan wydał polecenie wyciągnięcia ukrytych wcześniej przed SS pływających przedmiotów. Materiały te wykorzystywała uciekająca z pokładu załoga oraz więźniowie.

Wielu próbowało ratować się, skacząc za burtę. Był początek maja, wody zatoki lubeckiej były chłodne i choć przy krótkiej kąpieli nie sprawiłoby to problemu, dla ludzi wycieńczonych, w dodatku zmuszonych do płynięcia do brzegu, dłuższy kontakt z nią oznaczał hipotermię. Dodatkowo burty Cap Arcony

wznosiły się bardzo wysoko, zbudowano je wszak tak, by nadać jednostce majestatu, a nie ułatwiać chaotyczną ewakuację. Wielu skaczących w zetknięciu z wodą doznawało złamań, inni odnosili obrażenia, gdy ktoś spadł wprost na nich.

Widząc, co działo się na wodzie, dowódcy stacjonujących na miejscu oddziałów Hitlerjugend i Kriegsmarine wydali rozkaz otwarcia ognia do uciekinierów. Część z nich strzelała z lądu, innym nakazano wsiąść na łodzie i pływać po zatoce, by ratować strażników i członków załóg, a przy okazji strzelać do więźniów.

Szacuje się, że tego dnia zginęło pomiędzy 8 a 10 tys. więźniów. Z pokładu Cap Arcony uratowało się nie więcej niż 350, z Thielbeck ok. 50 osób. Wojna skończyła się pięć dni później. Nalot na Zatokę Lubecką był jedną z ostatnich dużych misji RAF. Ciała zabitych morze wyrzucało na brzeg przez kilka dni.

Wieczorem 3 maja transatlantyki liniowiec, niegdyś jeden z najnowocześniejszych i najbardziej luksusowych statków świata, leżał wypalony na sterburcie. Wody zatoki okazały się zbyt płytkie, by dało się go gdziekolwiek odholować. Przez jakiś czas resztki Cap Arcony wystawały nad wodę, przypominając o tragedii. W roku 1949 wrak kupiły firmy stoczniowe, cierpiące na brak materiałów niezbędnych do pracy. „Perła Atlantyku” została pocięta i przetopiona.

Nad Zatoką Lubecką pamięć o tragedii cały czas jest żywa. W Lubece i Neustadt (oraz kilku mniejszych miejscowościach) postawiono pomniki upamiętniające poległych. Wryte na nich informacje zwracają uwagę nie tylko na liczbę zabitych, lecz także na liczbę krajów, z których pochodzili – byli wśród nich Amerykanie, Białorusini, Belgowie, Czesi, Duńczycy, Finowie, Francuzi, Grecy, Hiszpanie, Holendrzy, Jugosłowianie, Litwini, Luksemburczycy, Łotysz, Niemcy, Norwegowie, Polacy, Rosjanie, Rumuni, Ukraińcy, Węgrzy i Włosi, wyznawcy zarówno judaizmu, jak i różnych odmian chrześcijaństwa. W Neustadt otwarto muzeum Cap Arcony, zaś na żydowskim cmentarzu postawiono symboliczny zbiorowy nagrobek. ■

**Anna M. Rosner** – historyczka, pracowniczka Działu Naukowego Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma. Wydała m.in. *Obraz społeczności ocalałych w Centralnej Kartotece Wydziału i Statystyki CKŻP, Żydzi londyńscy w drugiej połowie XIX wieku.*

# Działalność konspiracyjna Izabelli Radziwiłłowej w czasie okupacji

**MONIKA ANTCZAK**

## Preludium

„Chyba nie powinno się mówić o pobudkach pomagania ludziom, którzy tego potrzebują. Jeśli jednak miałabym je wymienić, to na pewno była w nich tradycja, w jakiej zostałam wychowana, pamięć mojego starego przyjaciela Cadyka ze Stolina, i nie do spłacenia dług wdzięczności wobec Kligermana” – pisała we wspomnieniach Izabella Radziwiłłowa, zwana w rodzinie Balalą (Archiwum Yad Vashem [dalej: AYV], M.31.2/5408, *Wspomnienia Izabelli Radziwiłłowej spisane w 1989 r.*, s. 5).

Księżna Izabella była mocno zaangażowana w ratowanie Żydów w czasie II wojny światowej. Na jej postawę miały wpływ jej przyjazne, już od wczesnych lat dzieciństwa, stosunki z ludnością żydowską, która mieszkała w majątku jej ojca w Mańkiewiczach, a potem relacje z żydowską i ukraińską społecznością w Ołyce na Wołyniu, gdzie zamieszkała wraz z mężem, księciem Edmundem, tuż po ślubie w 1934 roku.

Szczególne miejsce w pamięci księżnej Izabelli zajmował Cadyk ze Stolina. Nikt nie znał jego nazwiska i imienia, bo w domu Radziwiłłów od zawsze nazywano go Cadykiem. Był zaprzyjaźniony z rodzicami księżnej – Izabellą i Karolem Radziwiłłem, XIII ordynatem dawidgródeckim. „Ilekcroć przyjeżdżał do Mańkiewicz, zawsze ze mną rozmawiał. Robiło to

na mnie wielkie wrażenie, ponieważ był to człowiek otoczony powszechnym szacunkiem” (*Wspomnienia Izabelli Radziwiłłowej...*, s. 1). Niezwykła relacja, która połączyła dziesięcioletnią wówczas księżniczkę z Cadykiem, miała olbrzymi wpływ na jej późniejsze postępowanie.

Wybuch wojny zastał Radziwiłłów w Ołyce. Izabella Radziwiłłowa była już wówczas Siostrą Naczelną Polskiego Związku Kawalerów Maltańskich na województwo wołyńskie. Zorganizowała trzy szpitale – dwa w Ołyce, jeden w Cumanii, które już w pierwszych dniach wojny zapełniały się rannymi polskimi żołnierzami. W dniu 20 września 1939 roku do zamku ołyckiego wkroczyło NKWD. Księżę Edmund został wywieziony do obozu w Kozielsku. Księcia Janusza, teścia Izabelli, Rosjanie aresztowali i osadzili w więzieniu na Łubiance, gdzie osobiście przesłuchiwał go Ławrientij Beria. Żonę księcia Janusza, księżną Annę, oraz Izabellę z dwójką małych dzieci osadzono w obozie NKWD w Szepietówce.

Przewieziono nas do Szepietówki, gdzie znaleźliśmy się w izolacji. Z Ołyki kazano nam wyjeżdżać tak, jak staliśmy, w wielkim pośpiechu, nie pozwolili nawet zabrać płaszczy zimowych dla dzieci. Mój syn[,] Ferdynand, miał wówczas 4 lata. Moja córka[,] Krystyna, [miała] dwa lata. W pewnym momencie w Szepietówce zostałam wezwana przez szefa NKWD do jego pokoju. Ku mojemu zdziwieniu na stole znajdowały się... ciepłe płaszcze moich



ARCHIWUM KRYSZTYNY RADZIWIŁŁ-MILEWSKIEJ

Izabella Radziwiłłowa, Wielkanoc 1942

dzieci, zabrane z naszego domu w Ołyce. Jak się później dowiedziałam, ludność Ołyki wybrała najstarszego mieszkańca miasteczka, szklarza Kligermana, który jakoś dostał się do Szepietówki i dostarczył nam te ubranka. Wyobrażam sobie, że w ówczesnych warunkach była to podróż niesłychanie ryzykowna, i za to zachowaliśmy naszego starego przyjaciela, który wiele lat pracował w zamku, w najlepszej pamięci.

(Wspomnienia Izabelli Radziwiłłowej..., s. 2-3)

Rodzina Radziwiłłów szczęśliwie została zwolniona z aresztu i pod koniec grudnia 1939 roku znalazła się w okupowanej Warszawie. Janusz Radziwiłł zdawał sobie doskonale sprawę, że wojna przyniesie dramatyczne skutki, i jeszcze przed jej wybuchem polecił przygotować w Nieborowie szpital wojskowy na 34 łóżka, a podziemia pałacu Radziwiłłów przy ulicy Bielańskiej w Warszawie wzmocniono tak, aby mogły służyć za schron dla mieszkańców okolicznych domów. Jakże trafne to były decyzje w perspektywie nadchodzących okrutnych zdarzeń wojennych.

### **Bielańska**

Pałac Radziwiłłów na ulicy Bielańskiej odgrywał kluczową rolę podczas niemieckiej okupacji, był miejscem spotkań i tajnych narad, a jego podziemia dawały schronienie warszawiakom w czasie powstania.

W roku 1940 na terenie Generalnego Gubernatorstwa zawiązała się Rada Główna Opiekuńcza, polska organizacja charytatywna utworzona za zgodą okupacyjnych władz niemieckich, by nieść pomoc polskiej ludności. Działalność RGO obejmowała rozdzielanie żywności, odzieży i zasiłków pieniężnych dla najbardziej potrzebujących, prowadzenie kuchni ludowych, schronisk, zakładów opiekuńczych i domów noclegowych, wysyłkę paczek dla więźniów i jeńców oraz specjalne akcje pomocy, skierowane m.in. do osób wysiedlonych z ziem włączonych bezpośrednio do III Rzeszy. Tuż po zawiązaniu RGO utrzymywała się z datków osób prywatnych. Swoje wsparcie zaoferował również Janusz Radziwiłł. W czasie rozmów poprzedzających powstanie RGO odbyło się owiane legendą spotkanie w pałacu Przebendowskich-Radziwiłłów w Warszawie.



Do pałacu przy ul. Bielańskiej przybyli przedstawiciele władz okupacyjnych, jakieś osobistości polskie, i co było szczególnie znamienne – reprezentanci gminy żydowskiej. Ci ostatni pojawili się z obowiązującymi ich opaskami z gwiazdą Syjonu na lewym ramieniu. Chyba to jedyny w dziejach okupacji Polski wypadek spotkania przy wspólnym stole hitlerowców i Żydów. Radziwiłł, jako gospodarz spotkania, znalazł się wprost wspaniale. Kazał podać swym gościom namiastkę herbaty (zapewne osławiony i obrzydliwy herbatorum) oraz kartkowy chleb z kartkową marmoladą z marchwi, czy też buraków. Była to oczywiście demonstracja pod adresem przybyłych funkcjonariuszy hitlerowskich. Nie wiadomo, czy doszło to do ich świadomości, ale obecni Polacy i ich żydowscy współobywatele w lot zrozumieli, o co chodzi. Wieść o tym poczęstunku rozeszła się szeroko i przyczyniła się do umocnienia autorytetu księcia Janusza.

(Edmund Moszyński, *Ludzie i czasy „Czasu”*. Z historii czołowej gazety i wybitnych konserwatystów Drugiej Rzeczypospolitej, Toruń 2004, s. 177)

Postawa księcia Janusza wobec okupantów była nieugięta i solidarna z postawą ogółu społeczeństwa. Jak już wspomniano, jego dom przy ulicy Bielańskiej dał schronienie wielu mieszkańcom stolicy, zwłaszcza po wybuchu powstania warszawskiego.

W piwnicach pałacu koczowało ze dwadzieścia kobiet z dziećmi. Księżę Janusz Radziwiłł trzymał te baby twardą ręką, była woda, czystość, a natarcia nie zakłócały pobytu, bo ani Niemcy, ani Polacy do piwnic pałacu nie wpadali. Kiedy nadchodziła godzina ósma wieczór, przez dziurę prowadzącą do pałacu wchodził, a raczej wpełzał, natychmiast prostując się i otrzepując z kurzu, księżę w szarym garniturze i popielatym kapeluszu z szerokim rondem, obszytym perłową tasiemką. Za nim szła księżna w siateczce na głowie dla przytrzymania starannie ułożonych włosów. Byli oboje nieodmiennie spokojni, uprzedzająco grzeczni dla wszystkich, byli niepojętym zjawiskiem w tym wirze hałasu, śmierci, smrodu, nieustannych wybuchów, niebezpieczeństwa.

(Monika Żeromska, *Wspomnień ciąg dalszy*, Warszawa 2007, s. 165)

Podziemia pałacu na Bielańskiej szybko stały się szpitalem polowym. Któregoś dnia przyniesiono chłopca z przestrzelonymi nogami. Rana była szczęśliwa, bo kula przeszła przez obie łydki, wlot-wylot, wlot-wylot, nie naruszając kości. Prędko załatwiliśmy te dziury i został odniesiony do piwnicy szpitalnej. Musiało go to jednak bardzo boleć, bo

z niepokojem zobaczyłam po chwili, że rzuca się na posłaniu i pokrzykuje: „mamo” i „ja nie chcę żyć” i że dookoła niego zaczyna się już ten ruch, który prędko może doprowadzić do zbiorowego wybuchu rozpacz i głośnego cierpienia. W strachu i upadku ducha wskoczyłam do piwnicy i powiedziałam, jak bardzo boję się tego stanu rannych. Księżę Janusz wstał i zapytał, czy pozwolę mu wejść ze sobą do piwnic szpitalnych, bo może będzie mógł coś pomóc. Weszliśmy tam razem. Radziwiłł ukląkł przy posłaniu rannego chłopca, który krzyczał już i zwił się w istnym ataku, i wyjął z kieszonki swojej szarej kamizelki śliczny stary zegarek, złotą grubą cebulę. Nakręcił zegarek kluczykiem i przystawił go do ucha szalejącemu chłopcu. W tym krzyku, grzmocie, huku, drzeniu ziemi od najcięższych pocisków – nagle rozsunęła się prześliczna delikatna muzyka, czarowny menuet, dzwieczna melodyjka jak orkiestra cichych dzwonek. Chłopak znieruchomiał, zamarł, oczy wylażyły mu z głowy, a potem zamknęły się i zasnął... Był to wstrząs działający bezbłędnie, wiele jeszcze razy prosiłam Radziwiłła o tę terapię, wołałam go w chwili napięcia.

(Żeromska, *Wspomnień ciąg dalszy*, s. 171-172)

Pałac na Bielańskiej graniczył z terenem getta warszawskiego. Sieć podziemnych kanałów dawała możliwość niesienia pomocy żydowskim dzieciom.

Dzieci te przychodziły codziennie kanałem z terenu Getta. Dostawały jedzenie w specjalnie do tego przeznaczonym pokoiku z zamkniętymi okiennicami, a następnie napełniano im menażki, w których nieśli jedzenie dla swych rodziców i rodzin w Getcie. Dzieci te przechodziły zawsze w kilkoro, były małe, najstarsze mogło mieć dziewięć-dziesięć lat, może jedenaście. Dzieci te były potwornie smutne, i wyraz ich oczu pozostał na zawsze w mojej pamięci. Pewnego dnia przestały przychodzić...

(*Wspomnienia Izabelli Radziwiłłowej...*, s. 4-5)

### **Przechytrzyć Niemców**

W marcu 1940 roku Edmund i Izabella przyjechali z dziećmi do Nieborowa. Stacjonujący od września 1939 roku w pałacu nieborowskim sztab armii niemieckiej – 18. Dywizji Piechoty Wehrmachtu, pozwolił rodzinie zająć trzy pokoje we wschodnim skrzydle rezydencji. Gabinet Zielony, Sypialnia Wojewody i Gabinet Żółty stały się mieszkaniem Radziwiłłów na prawie pięć kolejnych lat.

Codziennie towarzystwo Niemców nie przeszkodziło Radziwiłłom rozpocząć działalności konspiracyjnej, która nie obejmowała tylko Nieborowa, lecz cały powiat łowicki i skierniewicki.

Oboje wstąpili do Batalionów Chłopskich, a później do Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej. Izabella została łączniczką w Komendzie Obwodu Łowickiego. Angażowała się w działalność organizacji pomocowych. Codziennie dojeżdżała rowerem z Nieborowa do Łowicza, gdzie działała w Radzie Głównej Opiekuńczej oraz Polskim Czerwonym Krzyżu. W klasztorze sióstr bernardynek założyła kuchnię dla osób wysiedlonych z ziem polskich i wcielonych do Rzeszy, gdzie każdego dnia wydawano około ośmiuset obiadów. Za ogrodem pałacowym w Nieborowie, w odległości około 500 metrów, na polanie wśród lasu znajdował się konspiracyjny punkt odbioru zrzutów powietrznych o nazwie „Obrus”. To właśnie tu, w nocy z 18 na 19 października 1943 roku, miał miejsce ostatni zrzut w obwodzie łowickim. Zrzuty przejmowali okoliczni partyzanci AK, ukrywając paczki w swoich gospodarstwach, skąd po kilku dniach były transportowane do stolicy. Historia nieborowskiego zrzutu nie miała szczęśliwego zakończenia – gestapo aresztowało większość żołnierzy obwodu łowickiego AK. W styczniu 1944 roku księżna Izabella Radziwiłłowa nawiązała kontakt z komendą AK w Łowiczu, przekazując informacje o ukrywanych na terenie Nieborowa kontenerach, zaangażowała się w ich transport.

O jej bohaterskiej i odważnej postawie świadczy drobny incydent, który mógł się dla księżnej zakończyć katastrofalnie. Rozkazy o mającym nastąpić zrzucie były szyfrowane w audycjach Polskiego Radia, nadawanych z Londynu. Każdy program radiowy zawierał wstawki muzyczne – kilka ustalonych melodii uznawano za „zastrzeżone”. Z zachowaniem pełnej tajemnicy władze AK dowiadywały się przez radio zaszyfrowaną depeszą o zrzutach na konkretne placówki. Depesza podsumowana była melodią „zastrzeżoną”, którą grano w Polskim Radio kilkukrotnie w dniu zrzutu. Nadawana w konkretnym dniu melodia była sygnałem alarmowym dla placówki zrzutowej. Niestety, w obwodzie łowickim brakowało lampowych odbiorników radiowych. Z pomocą przysłała księżna Izabella, która wykorzystując nieuwagę stacjonujących w nieborowskim pałacu oficerów Wehrmachtu, zabrała im właśnie taki odbiornik. Po wielu latach wspominała, że nie myślała wówczas ani o strachu, ani o konsekwencjach, jakie mogły ją spotkać, gdyby Niemcy się zorientowali.

### **Kto ratuje jedno życie, jakby cały świat ratował**

Izabellę Radziwiłłową cechowała niesamowita odwaga. Narazając swoje życie, ale także życie swoich najbliższych, zaangażowała się w pomoc na rzecz ludności żydowskiej.

We wspomnieniach pisała:

W początku 1942 r. Matylda Getter, przełożona Zgromadzenia Sióstr Rodziny Maryi, z którą współpracowałam, zaproponowała mi wzięcie do Nieborowa 12 dziewczynek w wieku od ośmiu do dwunastu lat. Wśród nich, o czym siostra Getter mi powiedziała, były trzy Żydówki. Oczywiście

przyjęłam wszystkie dziewczynki. Na szczęście prócz normalnych pomieszczeń, zajętych w znacznej części przez Niemców, posiadaliśmy Dom Ludowy, zbudowany przed wojną przez mojego teścia, Janusza. Do 1941 r. przechowywaliśmy tam rannych polskich żołnierzy, którzy jednak zostali zadenuncjowani i wywiezieni. Po tym tragicznym wydarzeniu zostało nam 14 łóżek z pełnym wyposażeniem. Tam zostały ulokowane dziewczynki. Dziewczynkami stale opiekowały się trzy siostry ze Zgromadzenia Sióstr Rodziny Maryi. Oczywiście zapewniliśmy im pełne utrzymanie, ubranie i wszystko co niezbędne. W pewnym sensie życie grupy dziewczynek było dość niezwykle. Jak wspominałam, teren pałacu i należących do niego zabudowań był w znacznej mierze zajęty przez wojsko niemieckie.

Niemcy stale kręcili się po terenie, na którym również poruszały się i bawiły dziewczynki. Nigdy jednak ze strony żołnierzy i oficerów niemieckich nie było żadnego zainteresowania tą grupką dzieci. Moje dzieci spędzały z dziewczynkami wszystkie popołudnia – chodziły do nich codziennie. Ja sama również widywałam je często, dbając o ich potrzeby. W pewnym momencie miejscowy wójt, Niemiec, ostrzegł mnie, że wpłynął do niego donos, że ukrywam jedną (podkreślam jedną) Żydówkę. Wójt nazywał się Wolf i był starym osadnikiem z niemieckiej kolonii Karolew w łowickim. Wójtem mianowali go Niemcy chyba w 1940 r. Ostrzeżenie otrzymałam po południu, a następnego dnia wczesnym rankiem zawiozłam „rozpoznana” dziewczynkę do Warszawy do siostry Getter. Siostra Getter natychmiast zorganizowała dołączenie dziewczynki do grupy wyjeżdżającej do Rabki. Pozostałe dziewczynki były w Nieborowie wraz z resztą grupy do naszego wywiezienia do Związku Radzieckiego, czyli do lutego 1945 r. Po powrocie do Polski dowiedziałam się od siostry Getter, że wszystkie trzy dziewczynki przeżyły wojnę w dobrym zdrowiu.

(*Wspomnienia Izabelli Radziwiłłowej...*, s. 3)

Izabella nigdy nie poznała prawdziwych nazwisk i imion uratowanych w Nieborowie dziewczynek. Nigdy też później nie miała z nimi kontaktu.

Księżna Izabella pisała we wspomnieniach o trzech uratowanych dziewczynkach żydowskich, które mieszkały w Nieborowie. Nie napisała jednak o tym, że Nieborów był jednym z głównych punktów przerzutowych społeczności żydowskiej, zwłaszcza dzieci.

Ksiądz Józef Roman Maj, zaprzyjaźniony na studiach z synem księżnej Ferdynandem, był częstym gościem w domu Radziwiłłów.

Nie zapomnę, jak Izabella się rozpłakała, mówiąc, że nie mogła uratować więcej dzieci i że mogła ratować tylko dziewczynki. Niemcy, odwiedzając sierocińce, kazali się rozbierać chłopcom i wtedy wszystko się



### Krystyna i Ferdynad w otoczeniu dzieci z ochronki nieborowskiej

wydawało, narażone były wówczas klasztory i siostry zakonne, więc jeśli chodzi o chłopców, ratowali się ci, co sami potrafili się uratować. Z dziewczynkami było łatwiej, bo rozjaśniano im włosy, robiono makijaże i funkcjonowały bez większego zagrożenia w klasztorach. Podobne zabiegi kosmetyczne Balala robiła w nieborowskim pałacu. Jedyną osobą ze służby nieborowskiej, którą Balala darzyła bezgranicznym zaufaniem, była kucharka, i to z jej pomocą przygotowywała dziewczynki od strony urody, czyli farbowanie włosów, malowanie, aby nie wyróżniały się od innych dzieci na wsi.

*(Rozmowa autorki tekstu przeprowadzona z ks. Józefem Majem 9 marca 2023 r.)*

Izabella Radziwiłłowa ściśle współpracowała nie tylko z matką Matyldą Getter, lecz także z księdzem Stefanem Niedzielakiem, który w czasie okupacji niemieckiej pracował w Łowiczu. Był kapłanem łódzkiego Okręgu AK, kierował pracami Rady Głównej Opiekuńczej.

Izabella Radziwiłłowa razem z ks. Niedzielakiem uratowała 70–80 dziewczynek. Gdyby nie Nieborów, nigdy nie mogłaby tego zrobić. Do transportu dziewczynek wykorzystywała karetki maltańskie oraz kolej, a z matką Getter komunikowała się przez zaufanych łączników. Każda historia uratowanego

dziecka jest inna. Izabella opowiadała, że w okolicznym lesie znalazła kobietę z dzieckiem, to była Żydówka. Kobieta była ciężko chora, umierająca. Oddała Izabelli swoją córkę, umarła.

*(Rozmowa autorki tekstu przeprowadzona z ks. Józefem Majem)*

Pomoc księżnej Radziwiłłowej otrzymywał każdy, kto jej szukał. Wśród ludzi, którzy znaleźli schronienie w Nieborowie, był m.in. Jerzy Einhorn, żołnierz Armii Krajowej, powstaniec warszawski, który uciekł z transportu niemieckiego:

Po powstaniu warszawskim byłem transportowany do Rzeszy Niemieckiej pociągiem towarowym, wraz z innymi uczestnikami powstania. Pod Łowiczem udało mi się wyskoczyć z transportu. Zgłosiłem się w Nieborowie do rodziny Radziwiłłów, gdzie została mi udzielona pomoc w postaci pełnego azylu. Osobą opiekującą się mną była Izabella Radziwiłł, która osobiście wyrobiła mi odpowiednie dokumenty, niezbędne do życia w tym czasie, i kierowała pełną pomocą przez 3 miesiące, po których na własne życzenie opuściłem Nieborów.

*(AYV, M.31.2/5408, Odpowiedź Jerzego Einhorna na pismo ŻIH z dnia 18.XI.1989, nadane z Pittsburga)*

Radziwiłłowie umieścili Jerzego Einhorna, który przybrał nazwisko Kronowski, tuż naprzeciwko pałacu, w domu rodziny Dmochowskich.

Z ciekawością czekałem na moje pierwsze spotkanie z księżną Izabellą i mój pierwszy wyjazd do Łowicza. Pod domem Pana Dmochowskiego pojawiła się energiczna, ciemnowłosa, młoda kobieta. „Jestem Izabella Radziwiłł, a ty pewnie Jerzy Kronowski?”[.] W chwili gdy to potwierdziłem, podjechał powóz zaprzężony w parę koni. Izabella Radziwiłł wsiadła pierwsza, wskazując miejsce obok siebie. Przez całą drogę do Łowicza była rozmowna, płynnie wyrażała się i bystro definiowała swoje myśli. Ciemna i średniego wzrostu, wyglądała trochę jak Hiszpanka. Powiedziała mi, że zamierza uzyskać dla mnie dokumenty potwierdzające moje fikcyjne zatrudnienie w dobrach Radziwiłłów, a także będę miał okazję zobaczyć jej działalność charytatywną. Wpierw zatrzymaliśmy się przy kościele. Ksiądz przywitał nas i okazał Izabelli wielki szacunek. Wydała instrukcje dotyczące dystrybucji odzieży oraz przydziału żywności. Ten rodzaj dobroczynności był priorytetem, gdyż przez Nieborów i Łowicz przewinęło się wielu uchodźców wojennych. Zdecydowaną większość stanowili ci, którzy musieli opuścić Warszawę po powstaniu.

(Jerzy Einhorn, *Recollections of the end of an era. Poland 1919-1945*, Bloomington, Indiana 2005, s. 225)

Po kilku dniach Jerzy Einhorn, już jako Jerzy Kronowski, z inicjatywy Izabelli otrzymał od niemieckich urzędników dokumenty, które legalizowały jego pobyt w Nieborowie. Przez trzy miesiące towarzyszył księżnej w jej codziennych działaniach społecznych i dobroczynnych. Po wojnie Jerzy Einhorn wyemigrował z kraju i nawiązał z nią kontakt. W roku 1979 na jego zaproszenie Izabella pojechała do Pittsburga, gdzie Einhorn osiadł wraz z rodziną.

Po upadku powstania wiele osób opuściło zrujnowaną Warszawę. W łowickiej dzielnicy Blich powstał tymczasowy obóz dla uciekinierów. W odbiór uciekinierów byli zaangażowani łowiczanie oraz siostry bernardynki. Izabella brała czynny udział w lokowaniu uchodźców we wsiach powiatu łowickiego. „Budynki pałacowe były zajęte przez wojsko niemieckie, a my mieliśmy tylko parę pokoi do naszego użytku. Toteż mogliśmy pomieścić tylko część potrzebujących dachu nad głową” (*Wspomnienia Izabelli Radziwiłłowej...*, s. 5). W pałacu nieborowskim znaleźli wówczas schronienie profesor nauk prawnych Tadeusz Nusbaum-Hilarowicz z żoną i córką oraz wybitny polski matematyk Kazimierz Żorawski.

W styczniu 1945 roku Radziwiłłowie zostali wywiezieni przez NKWD do obozu w Krasnogorsku pod Moskwą. Do Polski powrócili w 1947 roku, ale to już była inna Polska. ■

### Wybrane źródła:

- Jarosław Durka, *Izabella Radziwiłł*, [w:] *Słownik biograficzny polskiego katolicyzmu społecznego*, red. Rafał Łatka, Warszawa 2021.
- Jerzy Jakubowicz, *Sagi rodów polskich*, Lublin 2000.
- Rozmowy z Izabellą Radziwiłłową przeprowadzone przez Krzysztofa Jana Drozdowskiego 31.V i 5.VII.1984r., 3. IV.1985 r., 26.VIII.1986 r., 7.IV.1988 r., Archiwum Historii Mówionej Domu Spotkań z Historią i Ośrodka KARTA.
- *Zrzuty lotnicze na Ziemi Łowickiej 1941-1944*, red. Jerzy Miecznikowski, Domaniewice 1992.

**Monika Antczak** – historyczka sztuki, kustoszka, od 2017 r. kuratorka Muzeum w Nieborowie i Arkadii. Autorka licznych wystaw i wydarzeń kulturalnych związanych z historią rodziny Radziwiłłów.

# Bursztynowy głos chińskiej księżniczki z Białegostoku

OLAF JACKOWSKI

Kiedy wiosną 1926 roku mediolańska La Scala przygotowywała się do prapremiery opery *Turandot* – ostatniego, nieukończonego dzieła Giacoma Pucciniego, zmarłego w trakcie pracy nad tym utworem, do wykonania tytułowej roli zimnokrwistej chińskiej księżniczki kandydowały dwie śpiewaczki. Pierwsza z nich, pochodząca z Brna Maria Jeritza, już wtedy mogła pochwalić się regularnymi zaproszeniami do nowojorskiej The Metropolitan Opera. W późniejszych latach swojej długiej, bo 40-letniej, kariery wyspecjalizowała się w rolach wielkiego repertuaru niemieckiego. Dysponowała nośnym, dramatycznym głosem, nazywano ją „morawską błyskawicą”. Ku swojemu nieszczęściu miała mocną kontrkandydatkę – młodszą od siebie o 6 lat, pochodzącą z Białegostoku śpiewaczkę, której ponoć sam kompozytor kilka miesięcy przed śmiercią obiecał główną rolę w swojej nowej operze. W dodatku artystka ta mogła pochwalić się głosem lepiej pasującym do wymagań wokalnych partii *Turandot* – mocnym sopranem o dramatycznej sile wyrazu, a w dodatku o efektownie brzmiącej górze skali i dużej sprawności technicznej. Wybór padł więc właśnie na nią.

Jej przydomek artystyczny – Rosa Raisa – powstał poprzez podwojenie imienia sopranistki w dwóch różnych brzmieniach. Oryginalna pisownia jej rodzowego nazwiska do dziś pozostaje przedmiotem sporów badaczy, w języku polskim prawdopodobnie przedstawiała by się jako Róża Bursztyn. Urodziła się 30 maja 1893 roku w carskim Białymstoku, w ubogiej rodzinie żydowskiej. Wcześniej zaczęła wykazywać talent wokalny. Już jako dziecko śpiewała w chórze szkolnym, prowadzonym przez Jakuba Bermana, białostockiego dyrygenta i pedagoga, który jako pierwszy odkrył jej głos. W wieku 14 lat, z powodu pogromów i przemocy antyżydowskiej, zmuszona była do opuszczenia Podlasia. Wraz z kuzynką i jej dziećmi wyemigrowała na wyspę Capri na Morzu Tyrreńskim.

Nastoletnia Rosa, zamieszkawszy we Włoszech – oczywiście opery, zaczęła pobierać lekcje śpiewu kolejno u dwóch wybitnych śpiewaczek. Początkowo tajniki techniki *bel canto* przekazywała jej sopranistka Eva Trazzini – starsza siostra znanej śpiewaczki Luizy Trazzini i żona Cleofonte Campaniniego, dyrygenta, który na początku kariery Rosy stał się jej muzycznym mentorem. Dziewczyna kontynuowała naukę w neapolitańskim Konserwatorium Muzycznym San Pietro a Majella w klasie Barbary Marchisio, legendarnej kontralcistki specjalizującej się w wykonywaniu partii w operach Gioachina Rossiniego. Śpiewaczka po latach wspominała, że sprawność techniczną i biegłość głosu zawdzięczała wymagającym ćwiczeniom praktykowanym podczas tych lekcji. U Marchisio rozpoczęła również naukę pierwszych, belcantowych partii operowych, początkowo liryczno-koloraturowych. Nigdy później nie wykonywała tych ról na scenie, a jej *emploi* stały się partie przeznaczone dla sopranu dramatycznego.

Na scenie zadebiutowała w 1913 roku. We wrześniu w Teatro Regio w Parmie dwudziestoltnia Rosa Raisa wzięła udział w hucznych obchodach stulecia urodzin Giuseppe Verdiego, jednego z gigantów muzyki operowej, z sukcesem występując w dramatycznej partii Leonory w operze *Oberto, hrabia San Bonifacio*, pierwszym dziele scenicznym tego kompozytora. Dwa miesiące później po raz pierwszy wystąpiła za oceanem, śpiewając w Filadelfii jako Izabela w operze *Krzysztof Kolumb* Alberto Franchettiego podczas gościnnych spektakli zespołu Opera Chicago.

Rok 1914 przyniósł jej potrójny debiut w londyńskiej Royal Opera House, gdzie zaśpiewała: tytułową rolę w *Aidzie* Verdiego (partnerując legendarnemu włoskiemu tenorowi Enrico Caruso w partii Radamesa), rolę Heleny Trojańskiej w operze *Mefistofeles* Arriga Boita (u boku światowej sławy polskiego basa Adama

Didura w roli tytułowej) oraz rolę Hrabiny Almavivy w *Weselu Figara* Wolfganga Amadeusza Mozarta.

Jeszcze tylko dwa lata musiała poczekać na zaproszenie do słynnej mediolańskiej La Scali, w której wykonała m.in. tytułową rolę w operze *Francesca da Rimini* Riccarda Zandonai. Wówczas poznała również Giacomę Pucciniego, „modnego” w tamtym okresie kompozytora, który miał jej zaproponować rolę Magdy w powstającej właśnie operze *Jaskółka*. Jak przystało na prawdziwą – czyli kapryśną – divę, odmówiła występu, tłumacząc się wcześniej zakontraktowanymi spektaklami w Chicago.

Odmowa nie była jednak pustą wymówką. Chicago wkrótce stało się artystycznym domem Rosy Raisy, która przez kolejne kilkanaście sezonów występowała łącznie w kilkuset spektaklach zarówno na scenie tamtejszego teatru operowego, jak i podczas *tournees* z jego zespołami. W Chicago cieszyła się statusem supergwiazdy – w 1929 roku jako tytułowa Aida otwierała nową siedzibę teatru Civic Opera House w Chicago, a z czasem stała się jednym z filarów jego zespołu, z którym pozostała związana aż do zakończenia kariery scenicznej i który stwarzał jej dogodne warunki do poszerzania repertuaru o kolejne pozycje (m.in. Maddalena w *Andrea Chénier* Umberta Giordana, Santuzza w *Rycerskości wieśniaczej* Pietra Mascagniego, tytułowa Gioconda w operze *Amilcare* Ponchiello).

Każdy występ Rosy Raisy na rzecz własnej społeczności i białostockiego ziomkostwa wywoływał spore poruszenie wśród żydowskiej publiczności. Wydarzenia te jidyszowa prasa często opisywała na pierwszych stronach, pilnie śledząc zaangażowanie śpiewaczki w żydowskie życie artystyczne. W marcu 1918 roku na łamach nowojorskiego dziennika „Forwerts” można było przeczytać:

Rosa Raisa, żydowska córka Białegostoku, która stała się wielką gwiazdą opery, spłaci swój dług. Dług wobec krajan z Białegostoku i z Rosji, dług wobec tych wszystkich, którzy są dumni z jej kariery. Zaśpiewa tej niedzieli wieczór w Brooklyn Academy of Music, czulej i bardziej poruszająco niż na operowej scenie. Cóż to będzie za radość jej słuchać! Sprawdźcie w ogłoszeniach, gdzie możecie dostać bilety.

Z kolei w maju 1920 roku przed występem sopranistki na rzecz białostoczan w New York Hippodrome „Forwerts” w nagłówku pierwszej strony napisał, że: „Moment, kiedy Rosa Raissa zostanie przywitana przez swoich krajan warty jest ceny biletu”. W tekście podkreślano, że artystka wraz z Riminim występuje na rzecz pomocy mieszkańcom Białegostoku za darmo, wyobrażano sobie także moment ciepłego jej przyjęcia przez współmigrantów.

Rosa Raisa jednocześnie występowała w najznakomitszych teatrach operowych, m.in. włoskich (Neapol, Rzym, Wenecja, Werona, Florencja, Turyn), amerykańskich (Nowy Jork, Los Angeles, Minneapolis, Seattle), a także w Paryżu, Berlinie, Meksyku i Buenos Aires. Z czasem zasłynęła jako tytułowa Norma w operze Vincenza Belliniego, Amelia w *Balu maskowym*, Desdemona w *Otelli* i Leonora w *Trubadurze* Verdiego, a także w tytułowych rolach w operach Pucciniego: *Siostra Angelica*, *Madama Butterfly*, *Tosca* i *Dziewczyna z Zachodu*.

W roku 1920 wyszła za mąż za barytona Giacomę Riminiego, z którym często występowała (m.in. jako Alicja i tytułowy Falstaff w operze Verdiego oraz jako tytułowa Turandot i Ping w operze Pucciniego) oraz podczas wspólnych recitali. W ich programach znajdowały się zarówno pieśni wykonywane solo (m.in. tradycyjne pieśni żydowskie i rosyjskie), jak i duety z wybranymi oper. Małżeństwo wspólnie koncertowało także po zakończeniu scenicznej kariery, równoległe prowadząc szkołę śpiewu operowego w Chicago.

Choć nigdy nie powróciła do ojczyzny i nigdy w niej nie wystąpiła, artystka organizowała, niekiedy wspólnie z mężem, koncerty charytatywne na rzecz zniszczonego działaniami wojennymi Białegostoku.

W lutym 1921 roku gazety donosiły, że najbliższego koncertu Raisy, z ludowymi pieśniami rosyjskimi i jidysz w programie, wysłucha ojciec artystki, przybyły do Ameryki pod nieobecność śpiewaczki zaledwie kilka miesięcy wcześniej (co również odnotowała jidyszowa prasa). Raisa po powrocie z zagranicznych występów miała prosto ze statku udać się do Bronksu, gdzie zamieszkał jej niewidziany od dekady rodziciel. Podczas odwiedzin miała obiecać mu w prezencie kupno domu w New Jersey.

Równo rok później, w lutym 1922 roku „Forwerts” na pierwszej stronie informował swoich czytelników, że Raisa wybiera się na spektakl *Pusta karczma*, sztukę na podstawie dramatu Pereca Hirszebjna, wystawianą w teatrze Maurice’a Schwartza – najambitniejszym wówczas nowojorskim teatrze jidysz (Yiddish Art Theater of New York). Powodem miała być białostocka nostalgia – w spektaklu występowała Ella Marion, rzekomo koleżanka artystki z dzieciństwa, z którą wspólnie, jeszcze w rodzinnym mieście, marzyła o scenicznej karierze. „Rosa Raisa, która spełniła swoje marzenie i stała się jedną z największych śpiewaczek na świecie, przychodzi w poniedziałek wieczór zobaczyć, na ile Miss Marion udało się ziszczyć jej marzenie i zostać wielką aktorką” – tymi słowami zakończył krótką notkę dziennikarz nowojorskiej gazety.

W źródłach figurują dwie prawdopodobne daty zakończenia scenicznej kariery Rosy Raisy – jej występy w roli Racheli w operze *Żydówka* Jacquesa Halévy’ego w 1937 roku albo jej występ w roli Lei w amerykańskiej premierze opery *Dybuk* Lodovica Rocca w 1938 roku w Detroit.

W roku 1956, cztery lata po śmierci Riminiego, Rosa Raisa wraz z resztą rodziny (małżeństwo miało dwie córki) przeprowadziła się do Kalifornii. Zmarła 28 września 1963 roku w Los Angeles w wieku 70 lat – chorowała na nowotwór.

Na kartach historii na zawsze zapisała się jako pierwsza odtwórczyni roli Asterii w *Neronie* Arriga Boita oraz jako pierwsza w historii Pucciniowska Turandot. Obie prapremiery odbyły się już po śmierci kompozytorów tych nieukończonych dzieł i obie miały miejsce na deskach Teatro alla Scala w Mediolanie. Do udziału w obu wydarzeniach Rosa Raisa zaproszona została przez Arturo Toscaniniego, legendarnego dyrygenta i dyrektora muzycznego tego teatru. Prapremiera *Nerona* odbyła się w 1924 roku. Podczas prób śpiewaczka miała ponoć spotkać się z Puccinim, który zachwycony głosem Raisy miał obiecać jej główną rolę w swoim kolejnym dziele. Jak mówi legenda, świadoma atutów swojego głosu artystka miała poprosić wtedy kompozytora o częste zapisanie w partii wokalne wysokiego trzykreślnego dźwięku c, co później rzekomo odchorowała utratą głosu... Sopranistki do dziś mierzą się ze skutkami tej decyzji.

Puccini zmarł w listopadzie 1924 roku na chorobę nowotworową, a na podstawie jego szkiców utwór dokończył Franco Alfano. Według często przytaczanej anegdoty, podczas prapremierowego wieczoru dyrygujący operą Toscanini miał zatrzymać spektakl w połowie III aktu, w miejscu, w którym swoją pracę zakończył Puccini, po czym odwrócić się do zdeorientowanej publiczności i po chwili niezręcznej pauzy ze wzruszeniem powiedzieć „Tutaj mistrz odłożył pióro”.

Niestety, nie dysponujemy nagraniem chociaż fragmentu partii Turandot w interpretacji Rosy Raisy. Możemy jedynie wyobrazić sobie – na podstawie nielicznych zachowanych nagrań artystki – jak wykonywała tę rolę. Słuchając ich, można powiedzieć, że dysponowała dużym, dramatycznym sopranem o cieplej, aksamitnej i gęstej barwie, świetnie wykorzystywanej przy cieniowaniu wokalnych fraz. Z dużą lekkością osiągała słoneczne w brzmieniu wysokie dźwięki, brawurowo ozdabiała ornamentami linię wokalną. Trudne technicznie przebiegi i pasaże nie stanowiły wyzwania dla jej zwinnego, sprężystego głosu, nie bała się również śpiewania w szybkich tempach. Jej interpretacje były uczuciowe, w śpiew wkladała dużo emocji, w dodatku mądrze używała mięsistego, mrocznego w barwie rejestru piersiowego.

Rosa Raisa przez wielu badaczy i pasjonatów opery na świecie uważana jest za śpiewaczkę o najpiękniejszym głosie I połowy XX wieku. W Polsce nadal pozostaje postacią niemal nieznaną i zapomnianą. ■



Rosa Raisa, 1917

FOT. HERMAN MISHKIN, DOMENA PUBLICZNA

#### Wybrane źródła:

- Charles Mintzer, *Rosa Raisa: A Biography of a Diva with Selections from Her Memoirs*, Boston 2001.
- Wacław Panek, *Rosa Raisa – wielka Białostoczananka*, <http://maestro.net.pl/document/ksiazki/Raisa.pdf>.

**Olaf Jackowski** – z wykształcenia muzyk kontrabasista, z zamiłowania dziennikarz i krytyk muzyczny, współpracuje m. in. z portalem Orfeo.com.pl, czasopismami „Kalejdoskop”, „Panaceum”. Obecnie student III roku kierunku lekarskiego Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.

# Dr Michał Strykowski (1903–1943)

*Nieznany bojownik Żydowskiego Związku  
Wojskowego, uczestnik powstania w getcie  
warszawskim*

## **SZYMON PIETRZYKOWSKI**

Dzieje Żydowskiego Związku Wojskowego (ŻZW) – organizacji paramilitarnej o prawicowym nastawieniu, zrzeszającej (w przeważającej mierze) syjonistów-rewizjonistów – oraz jego udział w powstaniu w getcie warszawskim w dużej mierze wciąż pozostają nieodkrytą kartą. O ile przywódcy, tacy jak Paweł Frenkel, Leon Rodal czy Dawid Wdowiński są już relatywnie dosyć dobrze poznani (przynajmniej w obiegu naukowym), to wielu członków ze ścisłego kierownictwa nadal pozostaje anonimowymi postaciami, wartymi przybliżenia. Jedną z nich jest pochodzący z Konina dr Michał

Strykowski. W tekście zasadniczo skupiam się na przedwojennym okresie jego krótkiego, ledwie czterdziestoletniego życia.

### **Z Konina do Warszawy**

Michał Strykowski urodził się 13 czerwca 1903 roku w Koninie. Z wykształcenia był lekarzem weterynarii. W roku 1924 zdał maturę w konińskim Koedukacyjnym Gimnazjum Żydowskim. W latach 1922–1924 jednym z dyrektorów szkoły był Leopold Infeld (1898–1968) – późniejszy światowej sławy fizyk teoretyczny, współpracownik Alberta Einsteina. W roku 1935 Strykowski ukończył studia na wydziale weterynarii Uniwersytetu Warszawskiego, uzyskał stopień doktora. W Koninie mieszkał wraz z ojcem Szmulem, właścicielem



sklepu z gwoździami i innymi produktami metalowymi (po pewnym czasie sklep splajtował na skutek trudnej sytuacji gospodarczej w połowie lat trzydziestych) oraz bratem Natanem, prawnikiem z wykształcenia (niepracującym jednak w zawodzie). Ich dom mieścił się przy ulicy 3 Maja – reprezentacyjnej arterii miasta przebiegającej wzdłuż konińskiego rynku (tzw. Dużego Rynku) oraz ratusza, zamieszkiwanej przed wojną przez znaczącą liczbę Żydów. W pobliżu Dużego Rynku (przez konińskich Żydów nazywanego Grojser Markiem) znajdował się *Teper Mark* (jid. Rynek Garncarski) – centrum życia lokalnej społeczności żydowskiej. Niedługo przed 1 września 1939 roku liczyła ona ok. 2500 osób na 12 000 mieszkańców, Żydzi stanowili zatem łącznie ok. 20% ogólnej populacji tego miasta.

Wraz z bratem zaangażował się w działalność miejscowego ruchu rewizjonistycznego. Koniński oddział powstał na skutek podziału wewnątrz lewicowo-syjonistycznej organizacji skautowskiej *Ha-Szomer ha-Cair* (hebr. Młody Strażnik). Ci spośród członków, którym bliskie stały się idee głoszone przez Włodzimierza/Władymira Ze'ewa Żabotyńskiego (1880–1940), utworzyli swoje własne stronnictwo. O różnicach pomiędzy tymi dwoma ugrupowaniami następująco pisze Józef Lewandowski (właśc. Izaak Lipszyc, 1923–2007) – historyk, pracownik Wojskowej Akademii Politycznej w Warszawie, Instytutu Historii PAN, uniwersytetów w Sztokholmie i Uppsali, jeden z nielicznych ocalałych konińskich Żydów (wojnę przeżył w ZSRR, do Polski powrócił jako żołnierz Ludowego Wojska Polskiego), emigrant po marcu 1968 roku:

Rewizjoniści z zasady byli wykształceni, należeli do patrycjatu i często tak akulturowani, że tylko po przesadnie dobrej polszczyźnie można była dostrzec ich żydowskość. Chaluce [tu: członkowie *Ha-Szomer ha-Cair* – Sz. P.] wywodzili się z plebsu bądź udawali plebejskość i byli bardziej zakotwiczeni w kulturze żydowskiej.

(Józef Lewandowski, *Archeologia niepamięci*, „Midrasz” 2006, nr 4/108, s. 41)

Rewizjoniści mieli w zwyczaju ubierać się po wojskowemu, nosili brązowe dreluchy i czapki obwiedzione niebiesko-białą taśmą (oficjalne barwy). Prowadzili bogatą działalność – organizowali hachszarę (hebr. przygotowanie – przysposobienie zawodowe do życia w Palestynie), agitowali w wyborach do Kongresu Syjonistycznego, przeprowadzali liczne akcje społeczne – np. „kupuj izraelskie”. Obok braci Strykowskich w gronie założycieli znaleźli się również m.in. Lutek Ejzen, Jechezkiel Kot, Abraham Lewin, Mosze Lipczyc. W roku 1933 przy udziale Kelcze Ejzn powołano do życia sekcję kobietę.

Michał Strykowski przeniósł się z Konina do Warszawy. Przed wojną mieszkał przy ulicy Franciszkańskiej 8. W stolicy odebrał wykształcenie i systematycznie piął się po szczeblach kariery politycznej – stał się członkiem Komitetu Centralnego Polskiej Partii Syjonistycznej Organizacji Rewizjonistów. Nie zapomniał przy tym o swoim rodzinnym mieście. Zaopatrywał żydowską bibliotekę w Koninie – jedną z największych w regionie; w 1922 roku miała ona w sumie ponad pięć tysięcy tomów w jidysz, w języku polskim, hebrajskim, rosyjskim i innych, więcej niż w sąsiednim Kaliszu – w książki kupowane na przecenach w warszawskich antykwariatach.

Dzięki jego wrażliwości i wiedzy mieliśmy w Koninie nowości literatury polskiej, jak i tłumaczenia z francuskiego, niemieckiego, angielskiego. Co ciekawe: bez ideologicznych uprzedzeń. Bo nawet mieliśmy publikacje [Louisa-Ferdinanda] Céline'a i [Adolfa] Nowaczyńskiego, jak wiadomo – wrogie Żydom – przywołuje w pamięci Lewandowski. Przypominam sobie Michała Strykowskiego – dodaje[.] – Pamiętam, że widywałem go sporadycznie. Był<. > średniego wzrostu, szatyn, bez wyraźnych cech, określanych jako „żydowskie”, kilkanaście lat ode mnie starszy. Nie stykałem się z nim towarzysko, choć dobrze znałem jego ojca i jego brata, Natana, starego wówczas kawalera, również o kilkanaście lat ode mnie starszego.

(Lewandowski, *Archeologia niepamięci*, s. 41).

### Śladami Żabotyńskiego

Żabotyński – założyciel oraz główny ideolog tego nurtu – zaniepokojony zajściami w Niemczech po 1933 roku głosił m.in. konieczność samoobrony przed narastającą w Europie falą antysemityzmu (nie wykluczając przy tym użycia przemocy w odpowiedzi na przemoc), odrzucenie koncepcji życia w diasporze, zdecydowaną obronę interesów żydowskich w Palestynie poprzez zmasowaną emigrację („Państwo żydowskie po obu brzegach Jordanu”) czy powołanie żydowskiej armii. Jak podano w sprawozdaniu dla wojewody poznańskiego, 8 września 1938 roku na spotkaniu ze zwolennikami (jednym z wielu; niewykluczone, że wśród publiczności obecny był Michał Strykowski) w szczelnie wypełnionej poznańskiej synagodze na skrzyżowaniu ulic Wronieckiej i Stawnej Żabotyński krytykował działania tzw. stam-syjonistów (pejoratywne określenie stosowane w odniesieniu do tych ugrupowań syjonistycznych, które zajmowały bardziej ugodową/koncyliacyjną postawę wobec Palestyny niż syjoniści-rewizjoniści) zmierzających do skupienia w *Erec Israel* „jedynie najlepszych

elementów spośród światowego żydostwa, podczas gdy rewizjoniści, posługujący się jedynie matematyką, dążą do ulokowania w Palestynie całego żydostwa, a przynajmniej jego większej części” (Archiwum Państwowe w Poznaniu, 53/296/0/2.1/5709, k. 87–88). Dążenia „syjonistów ogólnych” porównał z wyciskaniem cytryny i odrzuceniem jej po wyciśnięciu (do tego porównania powracał zresztą wielokrotnie w trakcie przemowy). Nawoływał do odejścia od hawlagi – oficjalnej doktryny przyjętej przez Agencję Żydowską w odpowiedzi na falę zamieszek w Palestynie pod brytyjskim mandatem w latach 1929–1930, zakładającej powściągliwość, niestosowanie przemocy wobec miejscowej ludności arabskiej (zerwali z nią rewizjoniści) – dowodząc, że jej wynikiem jest coraz większe opanowywanie Palestyny przez Arabów.

Podobnie jak na wielu innych spotkaniach ludzie słuchali go z ciekawością, niemniej, w odróżnieniu od jego zwolenników, mało kto traktował jego słowa poważnie. Jednym ze świadków przemowy Żabotyńskiego była Fira Mełamedzon (1915–2014), która w latach 1927–1939 mieszkała w Poznaniu. Tak zapamiętała ten dzień:

Stanął, pamiętam, przed Aron Hakodesz, wokół niego pełno ludzi i zaczął przemawiać. Gestykulował z ekspresją, ale nie wymachiwał rękoma – „Żydzi, uciekajcie stąd!” – wołał – „Wierzcie Hitlerowi! To, co on głosi, jego słowa, jego groźby, są prawdziwe. Zaufajcie mi, on wycisnie z was krew, jak wyciska się cytrynę” – wyciągnął rękę i ścisnął pięść. Wciąż mam ten obraz przed oczyma. Ludzie słuchali go uważnie, ale to, co mówił, mało kto traktował poważnie. [...] Myślano, że przesadza.

(Andrzej Nizołek, Ksenia Kosakowska (oprac.) *Fira. Poznańscy Żydzi. Opowieść o życiu*, Poznań 2014, s. 196)

Wątek z cytryną ciekawie odzwierciedla meandry pamięci – pojawia się w obu przywoływanych źródłach, lecz w nieco odmiennym kontekście.

### **My sami... teraz...**

Tak jak wielu Żydów pod koniec lat 30. Strykowski szczególnie interesowała kwestia palestyńska. Dał temu wyraz m.in. w artykułach opublikowanych na łamach związanego z syjonistami-rewizjonistami czasopisma „Trybuna Akademicka” – w 1939 roku zasiadał w redakcji. Zaprezentował w nich poglądy zbieżne z Żabotyńskim. W jednym z tekstów, zatytułowanym *Ziemia dwóm obiecana*, omówił sytuację geopolityczną towarzyszącą ogłoszeniu tzw. deklaracji Balfoura (2 listopada 1917 roku) o odtworzeniu w Palestynie „żydowskiej siedziby narodowej”. Brak znaczących postępów w realizacji tej deklaracji i opieszałość ze strony jej gwarantów



**Michał Strykowski**

(Wielkiej Brytanii oraz pozostałych państw Ententy) przyczyniły się do sformułowania następującej, dość gorzkiej konstatacji (w oryginalnej pisowni):

[...] 21 lat, które upłynęły od deklaracji Balfoura nie zmieniły nic w tym względzie. Te same wątpliwości nasuwają się dziś i oczywiście żydostwo w chwili obecnej nie może decydować o przyszłym stanie rzeczy. Przed żydowskim ruchem państwowotwórczym stoi dziś tylko 1 możliwość: jest nią ruch Synfanistyczny w Irlandii. Syn fain [irl. Sinn Féin – odwołanie do irlandzkiej organizacji niepodległościowej, której działalność doprowadziła do utworzenia Republiki Irlandzkiej w 1916 r. – Sz. P.] – to znaczący my sami.

(Michał Strykowski, *Ziemia dwóm obiecana...*, „Trybuna Akademicka: Niezależny Organ Młodej Żydowskiej Inteligencji” 1938, nr 4–5 (145–146), s. 4)

Późniejszy tekst, zatytułowany *Problem czasu w dziele realizacji syjonizmu* ze stycznia–lutego 1939 roku, rozpoczął mottem z Cervantesa: „Na wielkim zegarze dziejów jest zapisane jedno słowo: Teraz”. Tak jak Żabotyński zachęcał do zerwania z powszechnym wśród Żydów nawykiem nadmiernego teoretyzowania na rzecz podjęcia realnych kroków – przyspieszenia emigracji do Palestyny, nadania temu zjawisku charakteru masowego, umocnienia żydowskiego osadnictwa w rywalizacji z Arabami. Na przeszkodzie w spełnieniu tych postanowień stanął wybuch II wojny światowej niespełna dziewięć miesięcy później, samemu Strykowskiemu nie dane było dotrzeć do *Erec Israel*.

### **W getcie**

Po zamknięciu granic getta warszawskiego 16 listopada 1940 roku Strykowski mógł znaleźć się w jego obrębie – ulica Franciszkańska, przy której mieszkał, początkowo w całości przynależała do dzielnicy zamkniętej. W grudniu 1941 roku wyłączony został wschodni odcinek ulicy – pod adresem tym znajdował jeden z bunkrów, w których ludność cywilna ukrywała się w trakcie powstania w getcie. Wojenno-okupacyjne losy Strykowskiego w dużej części pozostają

nieznane, rzadko pojawia się on w relacjach ocalałych członków ŻZW, takich jak Wdowiński bądź Perec Laskier. Wraz z Wdowińskim i Rodalem zasiadać miał w Komitecie Politycznym ŻZW. Organizacja ta została utworzona jesienią 1942 roku, w niedługim czasie po utworzeniu Żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB), która powstała 27 lipca 1942 roku. Składała się w znaczącej mierze z członków prawicowego harcerstwa Bejtar oraz żydowskich żołnierzy biorących udział m.in. w wojnie obronnej we wrześniu 1939 roku, mających za sobą doświadczenie militarne. Podczas powstania w getcie warszawskim ŻOB i ŻZW walczyły osobno, na przeszkodzie ku zjednoczeniu stanęły m.in. rozbieżności taktyczne czy światopoglądowe. Syjoniści-rewizjoniści chcieli wstąpić do ŻOB-u, lecz nie zgodzili się na stawiony im warunek, by uczynili to jako jednostki, nie zaś jako organizacja. Oba ugrupowania zajmowały odmienne stanowiska, gdy idzie o kwestię przywództwa (ŻZW chciał, aby sprawowali je wojskowi, ŻOB – działacze polityczni) czy strategii (ŻZW optował za zadaniem jak największych strat Niemcom w krótkotrwałych, ale efektywnych potyczkach, po których miało nastąpić wyjście z getta i kontynuacja walki partyzanckiej w okolicznych lasach; z kolei ŻOB wyznawał ideę walki aż do śmierci). Bojownicy ŻZW walczyli w rejonie placu Muranowskiego (w budynku pod numerem 7/9 mieściła się ich kwatera główna, połączona ze stroną aryjską przejściem podziemnym, z którego skorzystali w późniejszych dniach) przez okres trzech dni. Symbolem ich oporu stały się wywieszane na jednym z budynków dwie flagi – biało-czerwona i z gwiazdą Dawida.



Michał Strykowski zginął we wrześniu 1943 roku w obozie pracy przymusowej w Poniatowej. Nie wiadomo, jak i kiedy znalazł się w tym obozie, nie do końca znane są też okoliczności jego śmierci. Mógł zginąć w jednej z egzekucji – przypadkowo lub w związku z odnalezieniem broni i przygotowaniami do oporu zbrojnego.

Informację o uczestnictwie (prawdopodobnym) w walkach podczas powstania w getcie oraz późniejszej śmierci w potyczce z 19 czerwca 1943 roku po odnalezieniu kryjówki w mieszkaniu przy ulicy Grzybowskiej 11/13 w Warszawie, gdzie po upadku powstania



**Ignacy Witz, plakat nadesłany na konkurs ogłoszony przez Centralny Komitet Żydów w Polsce z okazji piątej rocznicy powstania w getcie. Połączone dwie flagi – z niebieską gwiazdą Dawida oraz biało-czerwona nawiązują do sytuacji, jaka miała miejsce podczas walk na placu Muranowskim**

w getcie przebywała część ocalałych członków ŻZW z Pawłem Frenklem na czele (mylną), można odnaleźć w zdigitalizowanych zasobach archiwalnych Muzeum Bojowników Getta w kibucu Lochamej ha-Geta'ot. Brat Michała, Natan, przeżył wojnę w ZSRR, wyemigrował później do Izraela, gdzie przybrał nazwisko Achikam. Był prezesem ziomkostwa konińskiego w Izraelu oraz jednym z redaktorów wydanej w 1968 roku *Księgi Pamięci Konina*. ■

#### Wybrane źródła:

- Bartosz Borys, *Zapomniana walka. Udział ŻZW w powstaniu w getcie warszawskim*, Żydowski Instytut Historyczny, 19 kwietnia 2020, <https://www.jhi.pl/artykuly/zapomniana-walka-udzial-zzw-w-powstaniu-w-getcie-warszawskim>, 596.
- Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście*, Warszawa 2001.
- Mordechaj Gelbart, *Z Księgi Pamięci gminy żydowskiej Konina*, tłum. Krzysztof Modelski, „Miasteczko Poznań” 2021, nr 2, s. 56–71.
- Józef Lewandowski, *Archeologia niepamięci, „Midrasz”* 2006, nr 4 (108), s. 40–44.
- Józef Lewandowski, *Moja Atlantyda*, Konin 1996.
- Dariusz Libionka, Laurence Weinbaum, *Bohaterowie, hochsztaplerzy, opisywacze. Wokół Żydowskiego Związku Wojskowego*, Warszawa 2011.
- Theo Richmond, *Uporczywe echo. Sztetl Konin – poszukiwanie*, tłum. P. Szymczak, Poznań 2001.

**Szymon Pietrzykowski** – historyk, pracownik Działu Edukacji Żydowskiego Instytutu Historycznego.

# Chasydzki purimszpil

**ARKADIUSZ BRUDŁO**

Chasydyzm jako ruch ma u swoich początków coś z purimowego ducha radości, entuzjazmu i odwracania zastanego porządku rzeczy. Pierwsi, osiemnastowieczni chasydzi szokowali swoich oponentów nowatorską, ekstatyczną pobożnością, w której taniec, śpiew i radość grały główną rolę. Nic więc dziwnego w tym, że bodaj najbardziej kontrowersyjny z religijnego punktu widzenia element obchodów Purim, słynny purimszpil, do dziś jest kultywowany w chasydzkiej społeczności. Pomimo przemian, którym chasydyzm uległ na przestrzeni ostatnich dwóch stuleci, z ruchu pod niektórymi względami rewolucyjnie nowoczesnego do synonimu współczesnej ultraortodoksji, purimszpil nadal pozostaje częścią chasydzkich obchodów najradośniejszego ze świąt.

Purimszpil, tak jak i inne purimowe tradycje, narusza tradycyjne wzorce zachowań. Świąteczne przedstawienia, choć usankcjonowane wielowiekową tradycją, stanowią w istocie wyjątek od sformułowanego już w Talmudzie zakazu uczestnictwa w widowiskach teatralnych. Mimo to tradycja chasydzka nie kwestionowała purimszpilu, przeciwnie – niekiedy przyznawała mu wręcz specjalną, obrzędową rolę.

Aby zrozumieć, jak to możliwe, należy odwołać się pokrótce do chasydzkiej interpretacji samego święta Purim. Myśliciele chasydzcy, czerpiąc z tradycji

kabalistycznej, postulowali istnienie ważnego związku pomiędzy Purim a – zdałoby się, zupełnie od niego odmiennego pod względem tonu – świętem Jom Kipur. Oboczna nazwa święta inaugurującego nowy żydowski rok to bowiem Jom ha-Kipurim; słowo *kipurim*, choć oznacza tu oczyszczenie, odpuszczenie grzechów, można zinterpretować również jako *ki-Purim*, czyli „jak Purim”. W ten sposób uznano, że oba święta – poważne, pełne pokuty i skruchy Jom Kipur i frywolne Purim – są w rzeczywistości dwiema stronami tej samej monety. W istocie, sednem obu jest zbawienie w obliczu nadchodzącej zagłady. I tak jak Jom Kipur ma ukryty wymiar radości, tak i Purim ma w sobie coś z powagi i doniosłości drugiego święta. Ostatecznie, po przyjsciu Mesjasza, Jom Kipur ma stać się dniem równie radosnym, co samo Purim. W ten sposób karnawałowa celebrowanie historii z księgi Estery urosła do rangi istotnego teologicznie święta.

W ten sposób również i purimszpil zyskiwał na znaczeniu. Z pozoru frywolna karnawałowa maskarada na scenie mogła stać się rytuałem, zdolnym nawet odmienić oblicze świata. Istnieje opowieść o tym, jak cadyk Arie Lejb ze Szpoły (1725–1812) wykorzystał przedstawienie purimowe, by zniweczyć wydany przeciwko Żydom dekret. Cadyk poinstruował swoich chasydów, by wystawili purimszpil, którego fabuła opowiadała właśnie o unieważnieniu podobnego zarządzenia. Dzięki mocy cadyka purimszpil mógł stać się działaniem w pewien sposób magicznym.

W badaniach nad kulturą chasydzką najwięcej uwagi poświęcono dotychczas powojennym purimszpilom chasydów z Bobowej, zamieszkujących dziś brooklińską dzielnicę Boro Park. Żadna inna grupa chasydzka nie przywiązuje do purimszpilu tak wielkiej wagi. Warto spojrzeć na powojenne purimszpile bobowskich chasydów jako na unikalną realizację dawnej, wschodnioeuropejskiej tradycji w nowym, amerykańskim kontekście.

Chasydzki purimszpil jest częścią tishu – specyficznie chasydzkiej, rytualnej uczty, której przewodniczy cadyk. Wśród chasydów z Bobowej purimowy tisz rozpoczyna się wieczorem pierwszego dnia święta, a kończy dopiero nad ranem dnia następnego, w Szuszan Purim. To dzień, którego niechasydzcy Żydzi poza Jerozolimą w zasadzie nie świętują, chasydzi jednak wybrali go na swoją specjalną ucztę. Pierwsze kilka godzin uroczystości to głównie długie przygotowania do kulminacyjnych wydarzeń, które odbywają się późną nocą i wczesnym rankiem Szuszan Purim. Sam purimszpil stanowi niekiedy mniej więcej połowę dziesięciogodzinnego tishu, poprzedzając najważniejsze chwile uroczystości, w których cadyk udziela chasydom błogosławieństw, przewodnicząc tańcom i śpiewom.

Subwersywny charakter purimszpilu objawia się już w procesie jego produkcji. Przygotowania zaczynają się niemalże na ostatnią chwilę – nie wcześniej niż około tygodnia przed premierą. Czyni się tak, by nie marnować na – w gruncie rzeczy karnawałowy – spektakl cennego czasu, który można zamiast tego przeznaczyć na zgłębianie Tory. Specjalnie zawiązany komitet, złożony z mających już najczęściej doświadczenie w poprzednich purimszpilach aktorów, muzyków i dekoratorów scenicznych, w porozumieniu z cadykiem podejmuje decyzję o wyborze scenariusza spośród już istniejących bądź napisaniu nowego.

Inaczej więc niż ma to miejsce w przypadku innych rytuałów chasydzkich (w tym wspomnianego, purimowego tishu), tym razem to nie cadyk, ale społeczność – w tym jej najmłodszy członkowie, uczniowie bobowskiej jesziwy – gra pierwsze skrzypce w przygotowaniu przedstawienia, którego cadyk będzie potem głównym odbiorcą. W ten sposób bobowski purimszpil stanowi sposób wyrażenia wdzięczności dla cadyka za jego całoroczną służbę. Nie jest on celem samym w sobie, ale raczej środkiem do tego, by rozweselić cadyka i – odwrotnie – samemu móc cieszyć się jego reakcją.

Tematyka bobowskich purimszpilów nie ogranicza się bynajmniej do księgi Estery. Wśród wystawianych widowisk pojawiały się m.in. takie, które oparte były na historii ofiarowania Izaaka, księdze Daniela czy legendzie o praskim golemie. Historie biblijne ubarwia się wątkami podejmowanymi w midraszach, pobiblijnych komentarzach wnoszących do oryginalnego tekstu nowe szczegóły, sceny czy interpretacje. Wszystkie scenariusze opierają się na podobnym planie: punktem wyjścia jest zawsze zagrożenie wiszące nad społecznością żydowską, które zostaje przewyciężone siłą wiary bądź dzięki boskiej interwencji. Językiem bobowskich purimszpilów nadal pozostaje jidysz – pomimo rosnących od lat wpływów angielszczyzny, co dodatkowo podtrzymuje związek tego zwyczaju z przedzagładowym światem wschodnioeuropejskiego chasydyzmu.

Choć purimszpil posługuje się elementami komizmu, scenariusze bobowskich przedstawień z reguły są poważne, moralizatorskie. Nierzadko pojawiają się w nich wątki męczeństwa, prześladowań, czy też odniesienia do Zagłady. Wynika to między innymi z wspomnianej asocjacji między Purim a Jom Kipur. Purimszpil jest nie tylko okazją do zabawy i radości, lecz także stanowi ważny punkt w chasydzkiej kosmologii opartej na dramacie upadku i odkupienia.

Sceną dla bobowskiego purimszpilu jest *besmedresz* (hebr. *bet ha-midrash*) – na co dzień miejsce przeznaczone na modlitwy, naukę i ważne zgromadzenia, w wieczór poprzedzający przedstawienie zamienia się w tymczasowy teatr. W zgodzie z duchem święta, w czasie którego świat staje na głowie, konwencje regulujące właściwe zachowywanie się w *besmedreszu* zostają zaburzone. Aktorzy nierzadko grają, stojąc tyłem do arki zawierającej zwój Tory, co w normalnych okolicznościach zostałoby uznane za nietakt. Centralne miejsca na widowni przeznaczone są dla cadyka i jego najbliższych, zasiadających przy głównym stole, którego przedłużeniem jest scena – w ten sposób aktorzy w pewnym sensie występują właśnie na stole.

Tym, co szczególnie zwraca uwagę w bobowskim purimszpilu, jest specyficzne podejście do kostiumów, dekoracji i muzyki. W związku z charakterem przygotowań, dekoracja sceny jest umowna, a kostiumy, wzięte często z wypożyczalni, częstokroć nie przystają do fabuły. Zdarza się np. zobaczyć Hamana w stroju

napoleońskiego generała czy Abrahama ubranego jak współczesny chasyd. Anachroniczność rozciąga się też na sam scenariusz: niekiedy postacie biblijne rozmawiają np. o studiowaniu Talmudu, który w ich czasach jeszcze nie istniał. W warstwie dźwiękowej muzyka na żywo przeplata się z efektami dźwiękowymi, które tradycyjnie brano z płyt wypożyczanych w nowojorskich bibliotekach publicznych. Taka estetyka z jednej strony ma swoje walory komiczne, z drugiej zaś przypomina, że celem purimszpilu jest pewien efekt duchowy, a nie czysta, artystyczna ekspresja. Dlatego też bobowskie przedstawienia noszą cechy kolażu, w którym pozornie nieprzystające do siebie elementy scalone są wyższą logiką purimowego przedstawienia.

Purimszpil przeznaczony jest szczególnie dla męskiej publiczności. Kobiety mogą obserwować przedstawienie ze swojego specjalnie wydzielonego miejsca (co już samo w pewnej mierze jest zachwianiem tradycyjnego oddzielenia mężczyzn od kobiet w sferze publicznej), jednak z reguły ciężko stamtąd dojrzeć scenę. Wszystkie role w purimszpilu, w tym role żeńskie, są odgrywane przez mężczyzn. Istnieje za to osobna kategoria bardziej kameralnych przedstawień purimowych, przygotowywanych przez kobiety dla wyłącznie kobiecej widowni; przedstawienia te najczęściej towarzyszą zbiórkom charytatywnym i bywają oparte na świecicach, a nie religijnych źródłach.

Chasydzi z Bobowej dokumentują niekiedy tisz oraz sam purimszpil, łatwo dziś znaleźć w serwisie YouTube nagrania zarówno dawnych purimszpili z lat 80., jak i współczesnych celebrazji. Widać na nich, że pomimo upływu czasu bobowski purimszpil utrzymuje swoją estetykę i atmosferę. Zmienia się otoczenie – ustawiane prowizorycznie jedna na drugiej ławki ustępują miejsca bardziej profesjonalnym rusztowaniom w powiększonej przestrzeni, w tle zaś pojawiają się elementy profesjonalnego nagłośnienia. W Internecie znaleźć można również nagrania purimszpiliów innych grup chasydzkich: Skwiry, Wyżnicy czy Braclawia. I choć największe centra chasydyzmu znajdują się dziś poza Europą, purimszpil pozostaje żywą tradycją i ważnym elementem pobożności dla wielu współczesnych chasydów.

Na przestrzeni ubiegłego stulecia popularność purimszpilu przyczyniła się w pewnej mierze do rozwoju współczesnych chasydzkich przedstawień (nierzadko znacznie bardziej rozbudowanych i profesjonalnych), określanych – by uniknąć asocjacji z nieżydowskim i zakazanym teatrem – mianem „szpilów”, niemających jednak bezpośredniego związku ze świętem Purim. Można powiedzieć, że purimszpil nie jest tylko wciąż zachowywaną, dawną tradycją, ale i wzorcem inspirującym zjawiska zupełnie nowe. ■

**Arkadiusz Brudło** – absolwent studiów w Katedrze Judaistyki Uniwersytetu Wrocławskiego. Obecnie student w Centrum Badań Przekładoznawczych UJ.



**Purim na Brooklinie**

# Pamięć wielokierunkowa Izaaka Celnikiera: *A jednak żyjemy...*

Spośród blisko 60 tysięcy mieszkańców i uchodźców z białostockiego getta wyjechało nas 150 ocalonych. Jak w Hiroszimie. Tyle tylko, że w Hiroszimie były to anonimowe bomby i dwóch pilotów amerykańskich; jeden popełnił samobójstwo, drugi oszalał. Co do nas, byliśmy twarzą w twarz z zabójcami, bez żadnego odniesienia do człowieczeństwa, i na próżno by szukać wśród Niemców przypadków samobójstwa czy szaleństwa z powodu masowego mordu.

(Izaak Celnikier, *Moja lektura Rembrandta*, tłum. Katarzyna Rodrigo-Pereira, maszynopis w zbiorach prywatnych rodziny artysty, s. 88)

## ZUZANNA BENESZ-GOLDFINGER

Początek lat pięćdziesiątych. Japonia jeszcze nie podniosła się z tragedii Hiroszimy i Nagasaki. Tłem wydarzeń filmu *A jednak żyjemy...* w reżyserii Tadashiego Imai są ruiny. Na jego filmową twórczość duży wpływ ma powojenny, włoski neorealizm.

Bohaterem jest japoński robotnik Mori, który nie potrafiąc znaleźć stałego zatrudnienia, podejmuje dorywcze prace i wraz z tłumem innych bezrobotnych czeka codziennie przed urzędem na jednorazowe zlecenia. Sytuacja Moriego staje się beznadziejna w chwili, gdy właściciel domu, w którym mieszka wraz z rodziną, decyduje się zburzyć ich biedne mieszkanie.

Od tej chwili bohatera czeka seria kolejnych niepowodzeń: jego żona sprzedaje resztę dobytku i razem z dziećmi wyjeżdża na wieś, gdzie cierpią jeszcze większy głód, a Mori wprawdzie znajduje nową pracę, ale brakuje mu pieniędzy na życie do najbliższej wypłaty. Otrzymuje pożyczkę, która zostaje mu ukradzioną, potem traci nową pracę – a w końcu sam zgadza się na propozycję udziału w kradzieży

ołowianych kabli wykopywanych z ruin, by zdobyć pieniądze. Złodzieje zostają zaskoczeni i z trudem uciekają, jednak policji udaje się ich później zidentyfikować. W tym samym czasie żona Moriego zostaje zatrzymana przez policję za jazdę pociągiem bez biletu. W rezultacie zdesperowani małżonkowie spotykają się w komisariacie policji. W wyniku tych nieszczęść Mori razem z żoną postanawiają popełnić samobójstwo, a pieniądze z kradzieży przeznaczyć na beztrioskie spędzenie ostatniego dnia ich życia. Dzieci najadają się do syta, cała rodzina wynajmuje osobną izbę w domu noclegowym, poranek spędzają w lunaparku. Podczas zabawy synek Moriego wpada do stawu. Ojciec z miłości do dziecka rzuca się, by go ratować. Kiedy wyciąga chłopca z wody, zdaje sobie sprawę, że nie będzie umiał zabić siebie i dzieci.

Jeszcze przed słynną wystawą w Arsenale odnajdujemy krótki epizod w biografii twórczej Izaaka Celnikiera związany z tworzeniem plakatów filmowych. W roku 1955 artysta wziął udział w II Ogólnopolskiej Wystawie Ilustracji, Plakatu i Drobnych Form (kwiecień–maj 1955), gdzie zaprezentował plakat do filmu produkcji chińskiej *Zdobycie góry* w reż. Wei Guo (1953), a także plakat do filmu produkcji radzieckiej *Płomienne serca* (reż. Władimir





**Barak na Pradze przy ul. Garwolińskiej 6, w którym mieszkał Izaak Celnikier, po 1945**

Basow, Mstisław Korczagin, 1954). W tym samym roku Celnikier wziął również udział w wystawie plakatu polskiego w belgijskim Tournai (18 VI – 3 VII 1955).

W zbiorach Muzeum Plakatu w Wilanowie oprócz *Zdobycia góry* i *Płomiennych serc* znajduje się trzeci plakat Celnikiera – do omawianego filmu *A jednak żyjemy...* (reż. Tadashi Imai, 1951) z 1954 roku, który prezentujemy na wystawie „*Niewielkie resztki z Solnej. Izaak Celnikier wobec doświadczenia Zagłady*” (Żydowski Instytut Historyczny im. E. Ringelbluma, 10 XI 2023 – 16 VI 2024).

Między 1946 a 1952 rokiem Celnikier studiuje malarstwo monumentalne w Wyższej Szkole Rzemiosła Artystycznego w czeskiej Pradze pod kierunkiem Emila Filli. Rok po rozpoczęciu studiów w Pradze Celnikier wraca do Polski, ponieważ dowiaduje się, że na Śląsku żyje jego ocalały z Zagłady kuzyn. Miesięczny pobyt Izaaka w Polsce wydłuża się jednak z przyczyn proceduralnych.

Był rok 1947. Odnalazłem kuzyna w Nowej Rudzie. Przyjechałem „na miesiąc” z Pragi (miesiąc zamienił się w rok, bo nie pozwolono mi wrócić, by kontynuować studia). Dopiero częste interwencje z Pragi umożliwiły mi powrót.

(Izaak Celnikier, *Moje pożegnanie z Korczakiem*, [w:] *Żywa pamięć. W 75. rocznicę otwarcia Domu Sierot przy ulicy Krochmalnej 92*, oprac. Barbara Puszkina, Warszawa 1989, s. 70)

W związku z brakiem pozwolenia władz polskich na wyjazd do Pragi Celnikier rozpoczyna starania o przyjęcie do warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych (późniejszej Akademii Sztuk Pięknych). Prawdopodobnie w tym samym 1947 roku zostaje członkiem odrodzonego Żydowskiego Towarzystwa Krzewienia Sztuk Pięknych, skąd otrzymuje farby i pędzle. Będący w zarządzie Towarzystwa Józef Sandel

FILM PRODUKCJI JAPONSKIEJ

# a jednak żyjemy...

CELNIKIER 54

REŻYSERIA • TADASZI IMAI • WYKONAWCY • CH • S • I • R • KAWARAZAKI • I INNI • PRODUKCJA • SZINSEI EIGA



Izaak Celnikier, Plakat do filmu *A jednak żyjemy...* w reż. Tadaszi Imai (1951), 1954

1 września tego roku prosi profesora PWSSP, Marka Włodarskiego (ur. jako Henryk Streng), o wsparcie dla młodego artysty Izaaka Celnikiera:

Szanowny Panie Włodarski!  
Bardzo prosimy zaopiekować się Panem Celnikiem. Jest to młody malarz, który przeżył ghetto białostockie i obozy koncentracyjne. Obecnie przyjechał z Pragi Czeskiej. Pozdrawiamy serdecznie i z góry dziękujemy!  
Przewodniczący Józef Sandel,  
Sekretarz Henryka Lwów.

(Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego [dalej: AŻIH], 361/36)

24 lutego 1948 roku Celnikier składa podanie o przyjęcie na studia i zostaje przyjęty do pracowni Feliksa Kowarskiego w charakterze wolnego słuchacza. W jego studenckiej teczce zachowują się informacje o uzyskaniu oceny bardzo dobrej z egzaminów z historii sztuki, rysunku i malarstwa, a także ocenie dobrej z anatomii. 5 lipca tego roku rektorat Akademii wnioskuje o umożliwienie Izaakowi Celnikierowi i studentce Marcie Gawlak wstępu do kopalni „Nowa Ruda” w celu studiów górników przy pracy. Czyżby Izaak z ukochaną znowu odwiedzali kuzyna na Dolnym Śląsku?

Trzy miesiące później, we wrześniu 1948 roku, Izaak i Marta biorą ślub. Celnikier wypisuje się z warszawskiej uczelni 21 października. Tego dnia składa do rektoratu podanie o wydanie zaświadczenia w związku z jego wyjazdem do Pragi czeskiej, a jego żony Marty Celnikier (Gawlak) do Paryża. Otrzymuje zaświadczenie o zaliczeniu IV semestru studiów przez prof. Feliksa Kowarskiego. Otrzymuje papiery, może wracać do Pragi, by kontynuować tam studia.

W ciągu tego jednego roku akademickiego spędzonego w Warszawie (1947/1948) Celnikier korzysta z pomocy Centralnego Komitetu Żydów w Polsce i Żydowskiego Towarzystwa Krzewienia Sztuk Pięknych. Pobierając farby, pędzle i płótna, podaje różne warszawskie adresy zamieszkania. Wszystkie znajdowały się na warszawskiej Pradze. Były to tymczasowe miejsca zamieszkania, do których ocalali z Zagłady kierowani byli przez Centralny Komitet Żydów w Polsce. Wiemy na pewno, że w październiku 1947 roku Celnikier mieszka w barakach przy ul. Garwolińskiej 6 na Pradze.

W zbiorach Działu Dokumentacji Żydowskiego Instytutu Historycznego zachowało się jedno powojenne zdjęcie z tychże baraków przedstawiające ocalałych Żydów, którzy znaleźli tymczasowe schronienie w tym miejscu. Zostali ujęci identycznie jak na amerykańskich zdjęciach z wyzwolenia niemieckich obozów zagłady – widzimy ich zza siatki ogrodzenia zwieńczonego drutem kolczastym, w tle widoczny jest drewniany barak. Z tą jednak różnicą, że przedstawione tu postacie są dobrze odżywione i uśmiechają się do fotografa. Jedna kobieta skrajnie po lewej stoi przed siatką na znak, że zza ogrodzenia da się wyjść. Od zakończenia wojny musiało

upłynąć już trochę czasu, być może jest właśnie rok 1947, a Izaaka Celnikiera nie ma na tym zdjęciu tylko przypadkiem, choć osoby na nim przedstawione zna. Może stoi za obiektywem aparatu? Moją uwagę zwraca nieco tęższy od innych mężczyzna ubrany w jasną koszulę, który stoi pośrodku. Jedną ręką trzyma się siatki ogrodzenia, jego sąsiad zarzucił mu dłoń na ramię.

Wracam do rysunku na plakacie filmowym autorstwa Celnikiera, który przedstawia Moriego z synkiem na rękach, którego ocalił od utonięcia w stawie. Czyż modelem dla artysty nie był ten właśnie mężczyzna z baraków na Garwolińskiej? Oczywiście pewności nie mam, jednak zarówno rysy twarzy, jak i tęższa postura mężczyzny z fotografii i plakatu zgadzają się.

Ocalały z Zagłady staje się modelem dla bohatera, którego życie przysłała cięń Hiroszimy. Dwie biografie, z dwóch różnych stron wojennego konfliktu. Z pewnością obaj podpisaliby się pod tytułem filmu – *A jednak żyjemy...*

Bohater filmu i mężczyzna z fotografii spotykają się w biografii artystycznej Celnikiera jako jeden ze splotów tego, co za Michaelem Rothbergiem nazwać można pamięcią wielokierunkową. ■

**Zuzanna Benesz-Goldfinger** – antropolożka kultury i historyczka sztuki, kuratorka wystaw, kierowniczką Działu Sztuki Żydowskiego Instytutu Historycznego.



Izaak Celnikier, *Getto*, 1949

## Nota od redakcji

W numerze 3/2023, s. 23 omyłkowo opublikowaliśmy wizerunek obrazu *Getto* autorstwa Izaaka Celnikiera z 1955 roku (kolekcja Yad Vashem Art Museum w Jerozolimie), podpisując go jako wcześniejszą wersję tego obrazu z 1949 roku (kolekcja Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta w Gorzowie Wielkopolskim). Powyżej publikujemy wizerunek *Getta* z 1949 roku z prawidłowym podpisem.

KULTURALNA

BAARDZO

KRYTYKA

# Recenzja komiksu *Getto płonie*

WOJCIECH SZOT

*Getto płonie* Tomasza Bereźnickiego to – mimo wielu dobrych, jak przypuszczam, intencji – komiks nieudany, w którym nie udaje się ani przekonująco opowiedzieć wstrząsających historii trzech głównych bohaterów, ani przedstawić w uproszczonej formie historii powstania w getcie warszawskim. Komiksem rządzi chaos i niezrozumiałe decyzje scenariuszowe, a całość przypomina raczej dzieło propagandowe niż autonomiczne dzieło literackie.

Przekleństwem i – zarazem – błogosławieństwem dla komiksu jako rodzaju czy gatunku literackiego jest *Maus* Arta Spiegelmana. Ta powstająca w latach 80. opowieść o Holokauście stworzona została na podstawie rozmów autora ze jego ojcem Władkiem. Niemal powszechnie uznana była za arcydzieło i wyprowadziła komiks „z katakumb na estrady”. Ironiczne jest, że dokonał tego człowiek, który był również ojcem undergroundowego komiksu. Undergroundowego, czyli powstającego w kontrze wobec komiksów superbohaterskich i skierowanych do dzieci, które przez wiele lat zalewały amerykański rynek książki. Także *Maus* w założeniu był komiksem undergroundowym. Okazało się, że stał się niemal założycielem nowego gatunku – powieści graficznej. Ten termin ukuto, by odróżnić „poważne” dzieła komiksowe podejmujące tematy dotąd zarezerwowane dla prozy i w formie wydawniczej przypominające tradycyjną powieść. Nawet w posłowniu do *Getto płonie* Albert Stankowski, dyrektor Muzeum Getta

Warszawskiego, które jest wydawcą komiksu Bereźnickiego, pisze: „w formie komiksu (powieści graficznej)”, korzystając z tego drugiego określenia jako uzasadnienia faktu, że po komiks jako medium sięga „poważna” instytucja.

*Maus* stał się komiksem wzorcowym, do którego od ponad 40 lat porównywane są inne dzieła, a także uzmysłowił wielu osobom, a zwłaszcza instytucjom publicznym, że komiksowa forma – połączenie mniej lub bardziej uproszczonego rysunku z narracją i tekstem, który może być jednocześnie komentarzem do opowieści – może też stanowić idealną formę do opowiadania historii. Niestety, historie te szybko osunęły się w propagandę – od komiksów poświęconych lokalnej historii, przez komiksy o tym, jak dobrze będzie Polsce, gdy już wejdzie do Unii Europejskiej, po historię „żołnierzy wyklętych” – w Polsce instytucje publiczne traktują komiks tak, jak nigdy nie potraktowałyby innych rodzajów literackich. A raczej tak, jak z większym trudem udaje im się potraktować inne rodzaje literackie, bo przecież literatury propagandowej w Polsce mamy – niestety – całkiem sporo.

Pozornie treści komiksowe w tego rodzaju produkcjach przeznaczone są dla młodszych czytelników, ale w większości bywają nieczytelne, zbyt skomplikowane narracyjnie, fragmentaryczne lub cierpią na przerost formy (wykładu) nad komiksową opowieścią. Ich odbiorcą będzie raczej dorosły czytelnik, a jeszcze częściej – nikt. Dorosli kupują komiks z myślą o dziecku, a ono niewiele z tego wyniesie. Za to instytucja będzie mogła pochwalić się wydanym komiksem, co daje jej punkty w kategorii „młodzieżowość” i „nowoczesność”. Jednocześnie komiks wciąż jest bardzo niszową częścią kultury w Polsce, uważa się go za coś schematycznego, prostego i skierowanego do niezbyt wymagającego odbiorcy. Popularność komiksu wśród instytucji, załatwiających tak swoje cele, nie sprzyja jego rozwojowi.

*Getto płonie* to ciekawy przykład instytucjonalnej produkcji komiksowej. Już samo zaangażowanie Bereźnickiego do pracy jest sygnałem, że ambicje są tu raczej propagandowe niż artystyczne. Jest to bowiem twórca niezwykle lubiany przez instytucje. Jego rysunki można znaleźć w komiksach wydawanych m.in. przez Muzeum Powstania Warszawskiego, Instytut Pamięci Narodowej, Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, czy Fundację FOR (antologia komiksów o tematyce ekonomicznej). I choć bywają wśród nich dzieła całkiem udane, jak *Wrzesień pułkownika Maczka* ze scenariuszem Sławomira Zajączkowskiego, to ma Bereźnicki doskonałą umiejętność odczytywania intencji swoich zlecniodawców. Literatury to nie tworzy.

*Getto płonie. Historia łączniczek powstania w getcie warszawskim* to publikacja o intencjach zasadniczo podejrzanych. Komiks otwiera przydługi wstęp stworzony przez Muzeum Getta Warszawskiego, który w skrótovej, choć wciąż za długiej jak na komiks, formie przedstawia genezę i historię powstania w getcie warszawskim. Szczególnie uwzględniono różnice

**Getto płonie to ciekawy przykład instytucjonalnej produkcji komiksowej. Już samo zaangażowanie Bereźnickiego do pracy jest sygnałem, że ambicje są tu raczej propagandowe niż artystyczne.**

pomiędzy dwoma działającymi w nim organizacjami paramilitarnymi – ŻOB (Żydowską Organizacją Bojową) i ŻZW (Żydowskim Związkiem Wojskowym). Zgodnie z opisem ŻOB był organizacją wywodzącą się z „lewicowej partii antysyjonistycznej Bund”, a ŻZW miał korzenie „w prawicowych ugrupowaniach syjonistycznych”. Różnica oczywista, ale też politycznie wraza. I różnica ta okaże się – wbrew tytułowi – najważniejszym ideologicznym tematem komiksu. Już w prologu do pierwszej części Bereźnicki pisze: „Udział Żydowskiego Związku Wojskowego w powstaniu w getcie warszawskim przez wiele lat marginalizowano lub nawet pomijano”. Kto i kiedy pomijał? Dlaczego? O tym w komiksie nie ma ani słowa. Czytelnik oczywiście może sięgnąć po naukowe opracowania wyjaśniające, kto i kiedy pomijał rolę ŻZW, ale naiwnością byłoby sądzić, że czytelnicy *Getto płonie* poświęcą swój wolny czas na niemal naukową kwerendę. Ale niedopowiedzenie zostaje, a w spolaryzowanej rzeczywistości społecznej niedopowiedzenia żyją własnym życiem. Jest zatem komiks Bereźnickiego próbą nie tylko „oddawania głosu”, lecz także rewizji historii. „Komiks ten powstał, by przywrócić proporcje w opowiadaniu o walce dwóch organizacji żydowskich: ŻOB i ŻZW” – pisze wprost jego autor.

Sam komiks składa się z trzech części. Pierwsza to opowiadana fragmentarycznie i momentami achronologicznie historia Daniela, jednej z trzech koleżanek mieszkających w kamienicy przy ulicy Nowolipki, która – już jako starsza osoba – wraca pamięcią do powstania w getcie. Narracja ma szybkie tempo. Pierwsza strona – 8 maja 1943 roku, Daniela i jej towarzysze ukrywają się w bunkrze, bo Niemcy „wrócili i zaczęli podpalać getto”. Druga strona – cofamy się w czasie o kilka dni, Daniela z Mordechajem Anielewiczem przychodzą do schronu zbudowanego przez „ludzi z półświatka”. I zaraz przeskakujemy znowu o kilka dni w przeszłość, by poznać historię przeprowadzenia Daniela i kilku innych osób przez Marka Edelmana i Cywię Lubetkin przez kanały, a następnie przez Symchę Rotema na „aryjską” stronę miasta (autor komiksu zakłada, że czytelnik raczej wie, kim są te osoby).

Dwie strony i już jesteśmy w rozdziale drugim, gdzie poznajemy historię warszawskiego getta, a Daniela jako łączniczka podziemia dostaje zadanie przekazania paczki w umówione miejsce („tego dnia nie zdawałam sobie sprawy, co i od kogo mi powierzono. Dowiedziałam się o tym po latach”). To wszystko na zaledwie kilku stronach, na których scenarzysta (i rysownik w jednej osobie) próbuje upchnąć jak najwięcej informacji, przez co na opowieść o głównej bohaterce prawie w ogóle nie zostaje już miejsca. I tak skaczemy w tej historii, jakbyśmy przewijali filmiki na Instastory. Pojawi się też pierwsza koleżanka Daniela z kamienicy, Ruta, która – jak się okazuje – wciągnęła Danielę w działania podziemia.

Trzecią koleżanką okaże się Szoszana, z którą Daniela po latach spotyka się pod Pomnikiem Bohaterów Getta. To ona okaże się członkinią ŻZW i to jej opowieść zamyka komiks Bereźnickiego. Najważniejszym jej

elementem jest – poza opowieścią historyczną o tym, czym był ŻZW – uświadomienie Danieli, że paczka, którą kazano jej przekazać, należała do ŻZW. Zdaniem Szoszany jest to dowodem na współpracę między dwiema organizacjami. Z komiksu nie wynika wprost, kiedy owo przekazanie paczki miało miejsce, choć czytelnikowi może się wydawać, że działo się to raczej tuż po zamknięciu getta, a przecież wtedy jeszcze ani ŻOB, ani ŻZW nie istniały. Jakkolwiek nie prawdziwe, wydaje się to mocno naciągany, jednostkowym przypadkiem, który trudno przyjąć jako symbol współpracy obydwu organizacji.

Polityczny program tego komiksu jest aż nazbyt czytelny. Oto ponownie mamy do czynienia z licytacją o to, kto był bardziej „polski”. Pojawia się nawet postać w polskim mundurze, co może powielać mit, jakoby wśród założycieli ŻZW byli oficerowie Wojska Polskiego.

W komiksie Bereźnickiego wszyscy są bohaterami, ale ci z ŻZW są jednak jacyś tacy dzielniejsi – lepiej posługują się bronią, no i oni wywieszają powiewające nad gettem flagi – polską biało-czerwoną i żydowską biało-niebieską. Oczywiście, trudno sobie wyobrazić, by lewicowe grupy syjonistyczne wywieszały w trakcie walki w getcie polskie flagi (choć wyobrazić sobie można wszystko), ale osnucie narracji wokół tego wydarzenia, przy równoczesnym podkreślaniu, że do tej pory historia była opowiadana inaczej, to nadto czytelna próba ustanowienia nowego mitu narracyjnego. Jednocześnie jest ona fałszywa – wystarczy spojrzeć na znaczek Poczty Izraelskiej z flagami powiewającym nad placem Muranowskim, wydany z okazji 70. rocznicy powstania w getcie, czyli przed 10 laty.

Sporo tu o micie, niewiele o codzienności. Jest do imentu stereotypowo. Skoro getto, to musi się pojawić nawet Wiera Gran!

Wydaje mi się nadużyciem fakt, że w komiksie nie pojawia się żadna informacja o tym, czy relacja Daniela, którą w komiksowej formie odtwarza Bereźnicki, jest prawdziwa, czy jednak stanowi zlepek wielu innych historii przetworzonych przez scenarzystę. Z jednej strony protesty budzą dzieła Maxa Czornyja i inne „popholokiczowate” dzieła spod znaku *Tatuażysty z Auschwitz*, z drugiej – instytucja publiczna zajmująca się pamięcią o żydowsko-polskiej historii sama tworzy narrację, która korzysta z tych samych zabiegów, co wspomniane książki. W posłowniu napisanym przez dyrektora Muzeum Getta Warszawskiego czytamy, że „narratorem jest Daniela, łączniczka i sanitariuszka”. Czy istniała? Nie wiemy. Dlaczego „narratorem”, a nie „narratorką”, skoro „łączniczką” i „sanitariuszką”? Każdy z nas ma na pewno własną odpowiedź na to pytanie.

Jak na komiks mający odzyskać pamięć o roli ŻZW jest jednak czymś kuriozalnym uczynienie głównej narratorki członkinią „konkurencyjnej” pamięci. Postaci przedstawione w *Getto płonie* są papierowe, nie posiadają rodziny, przeszłości, życia innego niż to „bohaterskie”. O ich przyszłości też dowiadujemy się niewiele. Całość korzysta z męczących już, nudnych klisz.

Bohaterki spotykają się pod „tym pomnikiem”, bo przecież gdzie się wszyscy Żydzi na świecie ze sobą spotykają, jak nie podczas obchodów rocznicy getta? Żydzi nie spotykają się przypadkiem na ulicy w Jerozolimie, Paryżu, na plaży w Sopocie. Nie mieli innych przewodników niż Marek Edelman i nie pracowali z nikim innym, tylko z Anielewiczem. Czytelnik ma dostać to, co już zna. Niewiele tu wymaga się od czytelników.

Jedną z najbardziej upiornych cech polskich komiksów traktujących o II wojnie światowej jest fakt, że Niemcy mówią w nich po niemiecku. Jakoś w prozie mówią po polsku. Kilka stron komiksu Bereźnickiego w całości zapisano po niemiecku (polski przekład jest w przypisach), bo przedstawiają „relację J. Stroopa”. Skoro tak realistycznie postanowił Bereźnicki odtworzyć realia getta, to dlaczego jego bohaterki zawsze mówią tylko po polsku? Doceniam ilustracyjną sprawność Bereźnickiego, bo rysownikiem jest dużo lepszym niż scenarzystą, ale czy w każdym komiksie o Żydach i Holokauście trzeba wpisywać gwiazdę Dawida którąś z liter tytułu? Kiedy nasza wyobraźnia wizualna wyzwoli się od tak banalnej ikonografii?

Dyrektor Stankowski pisze, że „komiks powstał z okazji 80. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim – i mamy nadzieję – pozostanie trwałym świadectwem jej obchodów”. Rzeczywiście, *Getto płonie* jest świadectwem swoich czasów, uwikłania komiksowej formy w łopatologiczną propagandę polityki historycznej. Paweł Dobrosielski pisał, że po 2015 roku w Polsce „nastąpiła gruntowna reorientacja państwowych polityk pamięci oraz narracji dominujących elit symbolicznych w tym obszarze” (Paweł Dobrosielski, *Obrońcy wiary. Węzłowe spory o polsko-żydowską przeszłość od 2015 roku*, [w:] „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2022, nr 18, s. 616). Na wyklejce komiksu *Getto płonie* nie znajdziemy płonącego getta, a ruiny getta, nad którymi góruje katolicki kościół. Symbolika – w komiksie podkreślającym przywracanie pamięci o organizacji, która wywieszała polską flagę i współpracowała z polskim podziemiem walczącym – aż nadto czytelna.

Zamiast opowiadać ciekawą historię trzech niezwykłych kobiet, Bereźnicki próbuje opowiedzieć wszystko po trochu. Finalnie *Getto płonie* jest komiksem nieudanym i kolejną próbą wykorzystania tego medium do poprawiania historii i pisania nowej. ■

#### Polecamy do dalszej lektury:

- Dariusz Libionka, Laurence Weinbaum, *Bohaterowie, hochsztaplerzy, opisywacze*, Warszawa 2017.
- Art Spiegelman, *Maus. Opowieść ocalałego*: cz. 1, *Mój ojciec krwawi historią*, cz. 2, *I tu się zaczęły moje kłopoty*, tłum. Piotr Bikont, Warszawa 2016.

**Wojciech Szot** – dziennikarz „Gazety Wyborczej”, autor bloga Zdaniem Szota i książki *Panna doktór Sadowska*.

## Odpowiedź na recenzję Wojciecha Szota

### PAWEŁ FREUS

Wojciech Szot wytacza ciężkie działa przeciw komiksowi *Getto płonie*. Zdaniem autora recenzji dzieło jest nieudane, szczególnie na poziomie scenariusza, w którym autor/autorzy operuje/operują dużymi skrótami myślowymi i zużytymi schematami fabularnymi, postacie są „papierowe”, opowiadana historia nachalnie „przepisuje” historię, całość, uwikłana w bieżącą politykę historyczną państwa polskiego i silnie spolaryzowanego społeczeństwa, jest propagandową agitką, nie zaś autonomicznym dziełem literacko-wizualnym. Dziełem wzorcowym w tym gatunku jest komiks *Maus* Arta Spigelmana, od którego radykalnie na niekorzyść – zdaniem recenzenta – odbiega *Getto płonie*. Wojciech Szot zdaje się przy tym zapominać, jakie kontrowersje wywołała publikacja *Mausa* i jak do chwili obecnej publikacja jest krytycznie analizowana przez historyków czy też literaturoznawców. Publikacja była szeroko komentowana, doczekała się licznych recenzji – również negatywnych i polemicznych. Od czasu wydania *Mausa*, komiksy / nowele graficzne stały się nośnikami treści historycznych. Wydawane są przez szereg instytucji i indywidualnych twórców. Jedne są bardziej udane, inne wywołują polemikę. Niemniej trudno zgodzić się, by każdy publikowany komiks historyczny był porównywany do *Mausa*. Do takich porównań nie aspiruje praca *Getto płonie*, konstruowana i skupiająca się wokół innej problematyki, znacznie też mniejsza i pojemna objętościowo.

Wydaje się, że Szot strzela z kolubryny do wróbla. Autorzy komiksu *Getto płonie*, opowieści zamkniętej w standardowym rozmiarze 46 stron (ledwie 46 wóbec kilkuset *Mausa*), chcieli powiedzieć dużo, nie mogli jednak wszystkiego. Pragnęli nadto połączyć aspekt informacyjno-edukacyjny, oczekiwany od publicznej instytucji muzealnej, z możliwie jak najwyższym walorem tekstowo-wizualnym medium, które jest coraz częściej używane (nadużywane, sugeruje recenzent) w dotarciu do młodszych odbiorców.

*Getto płonie*, w zasadzie pierwsza opowieść graficzna na gruncie polskim traktująca o wielowymiarowym



charakterze powstania w getcie warszawskim, jest w zamiarze eksperymentem fabularno-wizualnym. Dotychczas temat ten był obecny głównie w książkach historycznych, niekiedy operujących wysoce wyspecjalizowanym językiem i aparatem naukowym, a znacznie rzadziej w publikacjach popularno-naukowych, przedstawiano go też w formie filmów dokumentalnych, skądinąd nadal nielicznych. Autorzy komiksu *Getto płonie* przyjmują z pokorą możliwość, że nie wszystko udało się w tym przedsięwzięciu, ale czy to oznacza, że niemal nic się nie udało...?

Ale od początku... W potocznej świadomości polskiego i zagranicznego odbiorcy narracji o powstaniu w getcie warszawskim funkcjonuje nadal dominująca narracja o zbrojnym wysiłku ŻOB, z wyraźnie obecnymi – wręcz zmitologizowanymi – postaciami Mordechaja Anielewicza i Marka Edelmana. Istnienie ŻZW i jego wkład w zbrojny opór przeciwko niemieckiemu okupantowi jest zwykłym odbiorcy niemal nieznanymi. Temat ten jest natomiast przyswajany przez wąskie grono specjalistów, świadomych nadto uwikłania go w gęstą sieć prywatnych, instytucjonalnych i narodowo-państwowych interesów, co znakomicie wykazała wspomniana przez recenzenta książka Libionki i Weinbauma. Grono to jest również świadome problemów źródłowych i pytań pozostających bez odpowiedzi. To jednak świat naukowej debaty historyków. Intencją autorów komiksu *Getto płonie* i jednym z zadań strategii narracyjnych wydawcy dzieła – Muzeum Getta Warszawskiego – jest wprowadzenie do świadomości jak najszerszych grup odbiorców zainteresowanych narracją historyczną faktu istnienia dwóch organizacji bojowych i stopniowo rozpoznawanego (w takim zakresie, na jaki pozwalają wiarygodne źródła) ich wkładu w zbrojny opór w getcie oraz wzajemnych relacji między nimi. Od ledwie dwóch dekad w Polsce trwa debata na ten temat, a rozwija się ona głównie w środowisku profesjonalnych badaczy Zagłady. To ciągle zbyt mało, by do zbiorowej świadomości zdołały się przebić fakt istnienia ŻZW i wkład organizacji w zbrojny opór w getcie. Ważne było zatem zwrócenie uwagi i tym samym zachęcenie do poszukiwania dalszych informacji. Komiks jest ledwie początkiem i nie ma ambicji, by stać się publikacją popularyzującą złożoną historię ŻZW.

Recenzent zarzuca scenariuszowi uproszczenia i niejasności w tym względzie. Wskazuje na wątpli i niejasny motyw przesyłki przenoszonej przez kurierkę. Zdaniem autorów, wydaje się on jednak adekwatny wobec słabej – niemal do ostatnich chwil przed wybuchem zbrojnego oporu – współpracy silnie wcześniej zantagonizowanych ŻOB i ŻZW. Recenzenta oburza także ubranie dowódcy ŻZW – uściślijmy: ciągle zagadkowego Pawła Frenkla – w mundur polskiego oficera. Jest to – owszem – ryzykowny zabieg, lecz wydaje się autorom uprawniony wobec wzrastającego prawdopodobieństwa, na co zdają się wskazywać najnowsze badania uczonych w Izraelu, że „Paweł” jest tożsamy z oficerem wojska polskiego o nazwisku Frenkel, dobrze wyszkolonym wojskowo przed 1939 rokiem.

Postaci łączniczek są – owszem – fikcyjne i fabularnie naszkicowane, lecz ich biograficzne „kreski” mają zakorzenie w postaciach historycznych, m.in. Tosi Altman i Ziucie Hartman. Z ubolewaniem należy stwierdzić, że na nieco ponad 40 stronach nie starczyło miejsca, by ich kreski dopełnić detałem i kolorem pełnokrwistej biografii, co mogło u recenzenta wywołać wrażenie ich „papierowości”. Ale to zarzut, którym ostatnio szczerze recenzenci obdarzają bohaterów (bądź bohaterki) wielusetstronicowych powieści... Naszym celem nie było skupienie się na konkretnych, obecnych w historiografii biografiach.

Recenzent narzeka na posłużenie się fabularnymi i wizualnymi „stereotypami”: „ten pomnik”, czyli Pomnik Bohaterów Getta autorstwa Natana Rapaporta i Marka Leona Suzina z 1948 roku; „ten kościół pośród ruin getta” – czyli sylwetka kościoła rzymsko-katolickiego p.w. Św. Augustyna przy ulicy Nowolipki, górująca zachowaną bryłą nad splantowaną niemal zabudową tzw. dużego getta. Są one zapewne dobrze znane i „opatrzone” dla recenzenta, cechującego się zapewne ponadprzeciętną wiedzą o kontekście funkcjonowania i zagłady getta warszawskiego. Jest on też zapewne „od urodzenia” mieszkańcem Warszawy, dobrze „opatrzoną” w jej charakterystyczne i „ikoniczne” loci. Autorzy komiksu nie byli jednak przekonani, że taką wiedzą i „opatrzeniem” cechować się będzie każdy odbiorca komiksu *Getto płonie*. Spotkanie dwóch ocalałych bohaterów przy Pomniku Bohaterów Getta nie jest wszak fabularnie nieprawdopodobne, a jego ukazanie pozwoliło wykorzystać jego ekspresyjno-symboliczną wymowę. Również ze względów na wizualno-symboliczno-ekspresyjny ładunek zdecydowali się autorzy wykorzystać emblematyczny motyw zachowanej od totalnego zniszczenia bryły kościoła św. Augustyna wśród „morza ruin” gettowej zabudowy, w której nie pełnił on wszak swej pierwotnej – kultowej – funkcji, bowiem z woli niemieckiego okupanta stanowił bowiem tymczasowy magazyn na mienie zrabowane zamordowanym żydowskim mieszkańcom getta. Recenzent, zdaje się, dostrzegł tutaj „tylko” emblemat Kościoła rzymsko-katolickiego, natomiast autorzy komiksu widzą tu raczej siłę wymowy ruin głównego gmachu uniwersytetu wśród „morza ruin” Hiroszimy tuż po poranku 6 sierpnia 1945 roku.

Wytknięta przez recenzenta kwestia dwujęzyczności narracji komiksu jest w istocie problematyczna i trudna do rozwiązania w sposób satysfakcjonujący wszystkich jego możliwych odbiorców. Autorzy zdecydowali się na wprowadzenie języka niemieckiego w narracji oprawców, by uniknąć powszechnie krytykowanego rozwiązania, znanego głównie z bardzo licznych tekstów kultury traktujących o niemieckiej okupacji Polski, a powstałych w PRL, gdzie nader często „spolszczano” wypowiedzi Niemców (intencje takiego rozwiązania mogły być różne, może najczęściej były praktyczne). Intencją autorów komiksu było wyraziste rozróżnienie języków ofiar i oprawców, by uzyskać efekt ekspresyjny, zwłaszcza w przypadku

## **Symbolicznie istotny dla powstania (vide – reakcja Stroopa w jego raporcie) fakt wywieszenia przez ŻZW dwóch flag na dachu kamienicy (zapewne przy ulicy Muranowskiej 7/9) jest ciągle słabo utrwalony w powszechnej świadomości, a ma silną wymowę ekspresyjno-symboliczną.**

krótkich, brutalnych komunikatów żołnierskich oraz narracji – cytowanej za źródłem, które stanie się jednym z eksponatów stałej ekspozycji Muzeum Getta Warszawskiego – tzw. raportu Stroopa. Oczywiście, optymalnym rozwiązaniem byłoby, by wszystkie postaci w komiksie posługiwały się „swoim” językiem. Niestety, z przyczyn faktycznych i praktycznych byłoby to trudne i chyba niewskazane. Nie wiemy i zapewne nigdy się tego nie dowiemy, jakim językiem (jidysz? polskim? oboma językami wymiennie i w zależności od okoliczności?) posługiwali się Żydzi zaangażowani w zbrojny opór w warszawskim getcie. Jidysz byłby tu z pewnością dobrym wyborem, ale z drugiej strony narażamy się na zarzut o ekskluzywność – ile osób byłoby w stanie przeczytać hebrajskie pismo? Wprowadzenie jidysz do narracji – co wydaje się domyślną sugestią recenzenta – wymagałoby, jak w przypadku narracji niemieckojęzycznej, wprowadzenia tłumaczenia w dodatkowych przypisach, co zmniejszyłoby wydatnie wizualną czytelność komiksu i zwiększyło ryzyko przeładowania tekstem.

Symbolicznie istotny dla powstania (vide – reakcja Stroopa w jego raporcie) fakt wywieszenia przez ŻZW dwóch flag na dachu kamienicy (zapewne przy ulicy Muranowskiej 7/9) jest ciągle słabo utrwalony w powszechnej świadomości, a ma silną wymowę ekspresyjno-symboliczną. Dlatego też zyskał własny pełnostronicowy kadr w komiksie. Forma flagi „żydowskiej”, która została wywieszona, pozostaje jak dotąd niewyjaśniona przez badaczy powstania, zapewne ze względu na szczupłość i niejednoznaczność podstawy źródłowej (świadkowie widzieli dwie flagi, jedna z nich była „żydowska”, ale bodajże tylko Józef Grynblatt, i to w wypowiedzi formułowanej po kilku dekadach od zdarzenia, określił ją jako „biało-niebieską”). W izraelskich wizjach rekonstrukcyjnych pojawia się motyw flagi dwubarwnej: biało-niebieskiej, który wydaje się wysoce prawdopodobny. Nie można jednak wykluczyć, że wywodzący się z ugrupowania syjonistycznego bojowcy ŻZW dysponowali do kwietnia 1943 roku flagę syjonistyczną, z dwoma wąskimi pasami błękitnymi i zawartą

między nimi gwiazdą Dawida na białym tle (nieidentyczną z obecną flagą Izraela) i wywiesili takąż obok polskiej w pierwszych dniach po wybuchu powstania. Autorzy komiksu podjęli ryzyko zaprezentowania tej hipotetycznej możliwości i przyjmują z tego tytułu wszelkie konsekwencje wyboru.

Autorzy komiksu, w przeciwieństwie do recenzenta, pokładają wiarę w inteligencję, dobrą wolę i dociekliwość czytelnika tekstu kultury *Getto płonie*. Swoją wiarę pokładają m.in. w tym, że dziś, w dobie smartfonów z dostępem do Internetu, nie powinno być większych problemów z dotarciem do treści (lub ich rozszerzenia), które nie zostały w pełni zdefiniowane w narracji komiksu (np. biograficznych informacji o wzmiankowanych bojowcach i bojowniczkach).

Reasumując, autorzy komiksu podjęli ryzyko w konstrukcji jego scenariusza oraz formach wizualnych, mając nadzieję udanego połączenia waloru informacyjno-edukacyjnego z artystycznym – literacko-wizualnym. Byli świadomi, że nie wszystkie podjęte decyzje okażą się słuszne, a ich suma da dzieło bez zarzutu. Część z tych słabszych stron komiksu *Getto płonie* recenzent z resztą dostrzegł i trafnie wypunktował. Niemniej jednak wydaje się, że mankamenty te, wraz z zarzutami, które autorom wydają się nietrafne, przesłoniły recenzentowi walor całości. *Getto płonie* to może niedoskonały, lecz wciąż najlepszy, bo jedyny, komiks o powstaniu w getcie warszawskim, dostępny na polskim rynku. ■

**Paweł Freus** – historyk sztuki i starszy specjalista w Dziale Naukowo-Badawczym Muzeum Getta Warszawskiego.

DEBIUT

# Głośne milczenie przedmiotów

*czyli o dolnośląskich targach staroci*

**JADWIGA CZESKA**

Dolnośląskie targi staroci – choć za Zbigniewem Rokitą można by napisać „odrzańskie” – pełne są głośnego milczenia przedmiotów. Na chodnikach leżą stosy rzeczy różnego pochodzenia, ale przeważnie wyszabrowanych, mieszczących się w szerokiej kategorii poniemieckości, do której wpada i pożydowskie, i powojenne, i po prostu cudze. Między poobijanymi porcelanowymi filiżankami, które można kupić tylko w zestawie czterdziestu i ani jednej mniej, leżą mosiężne menory i popielniczki ze szkła Murano. Mało który sprzedawca staroci wie, że w 1946 roku na Dolnym Śląsku przebywało około 90 tysięcy Żydów, którzy w znacznej większości byli repatriantami z centralnej i wschodniej części ZSRR. Transporty z repatriantami przybywały do Polski od 8 lutego 1946 do 31 lipca 1946 roku. Szacuje się, że w 203 z nich przyjechało do kraju 214 210 osób, w tym 136 579 Żydów, z czego 124 transporty skierowano właśnie na Dolny Śląsk. Spośród wszystkich repatriantów zaledwie 2,5 tysiąca Żydów wróciło do swoich rodzinnych miast, między innymi ze względu na powszechne powojenne przyzwolenie na przemoc – również wobec Żydów, którzy

wracali po swoją własność. Rzeczy żydowskie najczęściej już pod koniec wojny znajdowały nowych właścicieli, którzy mieli nadzieję, że nikt się już o nie nie upomni. Żydowscy repatrianci zostali więc przeniesieni na tzw. Ziemię Odzyskane ze względu na dobrze zachowaną tam infrastrukturę, wypełniając tym samym pustkę po wysiedlanych stamtąd Niemcach. Przedmioty materialne – ich obecność lub brak – odgrywały po wojnie kluczową rolę, dotykając zarówno sfer życia codziennego, jak i wpływając na przemiany społeczne.

Przez krótką chwilę, między zakończeniem wojny a pierwszymi falami emigracji, na Dolnym Śląsku istniała duża społeczność żydowska. Przez krótką chwilę, między zakończeniem wojny a wprowadzeniem ustroju komunistycznego, przez Wrocław i jego szaberplace przepłynęła cała kultura materialna wyniszczonej wojną Polski. Wojna i Zagłada unicestwiły wiele żyć ludzkich, ale wraz z nimi także wiele mikrotradycji, których pamięć przenoszona była przez przedmioty codziennego użytku. Rzeczy, które w czasie wojny i powojnia zostały wprawione w ruch, zmuszone do migracji i bezdomności, zalegają teraz stertami na uliczkach Świdnicy, Wrocławia, Kamiennej Góry czy Wałbrzycha. Mogą być ostatnimi – milczącymi – świadkami historii i świata, który przemija.



W dzień ostatniego targu staroci w tym roku spadł śnieg. Część handlarzy nie dojechała, reszta porzuciła swoje rzeczy na sprzedaż na wytartych dywanach albo kolorowych płachtach folii. Pomiędzy gratami, przysypanymi śniegiem i pozbawionymi troski swoich tymczasowych właścicieli, stoją też skarby. Pozamykane w gablotkach rubiny i granaty mienia się czerwienią, na białym śniegu wyglądając trochę jak krew. Perły zmatowiały od nienoszenia, XIX-wieczne zapięcia bransoletek, których współczesne, niezgrabne palce nie potrafią rozplątać. A skąd? A kupione, a gdzieś na jarmarku kilka lat temu, już nikt nie pamięta od kogo. Obok mała, mosiężna chanukija, ale tutaj nazywana jest świecznikiem. Tylko nikt nie wie, po co to dodatkowe miejsce na świeczkę. Dalej, za plastikowym kalendarzem z kociećkami, album ze zdjęciami bezimiennych ludzi. Stoją, w czerni i bieli, przytulają dzieci i uśmiechają się do fotografa, na zawsze już zatrzymani i nierozpoznani. A wreszcie grafika, dosyć naiwna, przedstawiająca żydowskiego krawca. Najciekawszy jest podpis w języku jidysz - מ. זיטניקי, czyli M. (czyżby Mojsze?) Zytnicki, nazwisko zapewne zostało spolszczone po wojnie, co wśród Żydów było popularnym sposobem radzenia sobie w społeczeństwie większościowym. Inną z żydowskich strategii przetrwania po wojnie było umiejętne wykorzystanie przedmiotów osobistych i zmiana



FOT. J. CZESKA

wizerunku, na przykład – opisane w trawelogu Chaima Szoszkiesa – zawieszanie na szyi żydowskich dzieci medalików z katolickimi świętymi, przebieranie się w rustykalne, polskie stroje czy też, bardzo powszechne w powojennej Warszawie, golenie bród przez mężczyzn. Wszystkie te zabiegi miały pozwolić wtopić się w społeczeństwo większościowe, pozostać niezauważonym – a więc bezpiecznym. Historia przedmiotów po wojnie to nie tylko historia zdobywania i gromadzenia, lecz także historia porzucania i zacierania śladów dotychczasowej tożsamości.

W morzu przedmiotów niełatwo jest złowić dryfującą opowieść. Pochodzenie rzeczy, w których posiadanie weszli handlarze, jest często nieznane. Rodzą się legendy i historie o skarbach znalezionych na strychu lub zakopanych w ogrodzie, nikt nie przyznaje się do przeszukiwania nieswojego domu. A szaber był przecież w kryzysie powojennej Polski codziennością, poszukiwanie przedmiotów stanowiło odpowiedź na rozpaczliwe materialne niedobory i nie zawsze było równoznaczne z kradzieżą. Czasami celem takiej działalności był zysk, a czasami chęć przeżycia. W określonych sytuacjach szaber mógł być nawet równoznaczny z ocalaniem lub ratowaniem przedmiotów. Dariusz Stola pisał, że szaber jest działaniem odbywającym się pomiędzy człowiekiem a przedmiotem, a nie pomiędzy człowiekiem a człowiekiem, dzięki czemu opór przed nim jest mniejszy. Przedmioty szabrowane były wyrwane ze swojego naturalnego środowiska, z kontekstu i wywożone w głąb Polski. Wierzę więc dolnośląskim handlarzom, którzy drapią się po głowach nad swoimi skarbami i rzadko zadają sobie pytanie, jak krętą drogę musiały przejść, żeby trafić w ich ręce.

Targi staroci na Dolnym Śląsku, na terenach tzw. Ziemi Odzyskanych, stanowią ucieleśnienie fenomenu, jakim jest szaber i jakim jest pamięć. Wszystko jest rozmyte, niczyje, nieoczywiste, nietrwałe, obciążone. Wszystko jest „poniemieckie”, historię przedmiotów zaciera się tym bezpiecznym określeniem – zarówno tych zdobytych, jak i tych porzuconych. Żydowskie przedmioty zostały wymazane z powszechnej świadomości wraz z ich żydowskimi właścicielami, a ich „poniemieckość” nie zostawia miejsca na pamiętanie o tragedii, jaką dla Niemców było wypędzenie ich z Dolnego Śląska. Handluje się wszystkim, graty i skarby mieszają się ze sobą, tak jak na tych terenach po wojnie mieszały się historie narodów, języki i przegrani z wygranymi. W ciszy padającego śniegu i ostatniego w tym roku targu staroci, w milczeniu przedmiotów, można usłyszeć i ocalić historię. A nawet zabrać ją ze sobą do domu, przerywając – zakłętą wojną – krąg bezdomności przedmiotów. ■

#### Wybrane źródła:

- Adelson Józef, *W Polsce zwanej Ludową*, [w:] *Najnowsze dzieje Żydów w Polsce w zarysie (do 1950 roku)*, red. Jerzy Tomaszewski, Warszawa 1993.
- Polonsky Antony, *Dzieje Żydów w Polsce i w Rosji*, Warszawa 2014.
- Rokita Zbigniew, *Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych*, Kraków 2023.
- Thum Gregor, *Obce miasto. Wrocław 1945 i potem*, tłum. Małgorzata Słabicka, Wrocław 2005.
- Zborowska Agata, *Życie rzeczy w powojennej Polsce*, Warszawa 2019.

**Jadwiga Czeska** – magistrantka w Katedrze Judaistyki im. Tadeusza Taubego na Uniwersytecie Wrocławskim i tłumaczka, interesuje się studiami nad przedmiotem jako nośnikiem doświadczenia, literaturą języka jidysz, mikrohistoriami i nieoczywistymi przestrzeniami pamięci.

# Strach

## CHANA BLANKSZTEJN

- Ostatni przystanek przed stacją końcową! - rzucił ktoś w wąskim korytarzu ciągnącym się przez cały wagon.

- Mają tu też bufet - odezwał się na to zaspany głos. Słowa pochłonęło smakowite ziewnięcie.

Podróżny, który leżał przy oknie, otrząsnął się z drzemki, wyciągnął rękę, ze stolika wziął przewodnik kolejowy, otworzył go i wyszukał nazwę stacji - pociąg stoi tu piętnaście minut. Uznał więc, że opłaca się właśnie tu, na tej stacji, wypić herbatę, oszczędzi sobie później zachodu ze śniadaniem. Zostawi walizkę na dworcu i od razu po przyjeździe puści się do miasta. W ten sposób prędko załatwi wszystkie swoje interesy: zobaczy się z właścicielem fabryki i nie każe na siebie czekać w dwóch bankach, gdzie musi załatwić parę spraw.

Kto wie, może uda mi się jeszcze dziś wieczór wrócić do domu - pomyślał wesoło i wyszedł na korytarz.

Pociąg zbliżał się do stacji. Z daleka było już widać długi, niski budynek dworca. Podróżny wyszedł na peron. Był marzec. Zimny poranek. Z piaszczystych terenów wokół stacji ostry morski wiatr nawiał śniegu, tak że zeszłoroczna krótkka, sucha trawa wyglądała jak posypana brudną solą.

Podróżny postawił kołnierz kurtki i łapczywie wciągnął rześkie powietrze. Szybko przeskoczył przez

tory i wszedł do dworcowego bufetu. Przestronna sala była pusta. Jedynie z boku, przy stoliku, dwóch urzędników kolejowych piło piwo, niewątpliwie siedzieli tu już od dłuższego czasu. Przy bufecie drzemała starsza kobieta, z głową w białym czepku spuszczoną na wysoką, mocno zasnurowaną pierś.

Podróżny spojrzął na talerze z pokrojonymi, wyschniętymi bułkami z kiełbasą lub serem, trochę się skrzywił i zapytał o herbatę.

- Herbaty tak rano jeszcze nie ma, może kawa?

- Kawa? Znakomicie, poproszę szklankę kawy. - Gość zatarł zimne dłonie.

Kobieta chwilę uwijała się przy wielkim czajniku przykrytym wyszywanym ręcznie kapturem i podała mu szklankę wrzącej kawy, podsuwając tackę z podłużnymi bajglami.

Pod drzwiami rozległy się pospieszne kroki. Podróżny odstawił pustą szklankę, zaczął się spieszyć, niecierpliwie czekał, aż kobieta wyjmie z szuflady resztę, szybko wyszedł z sali, przebiegł tory, zatrzymał się na chwilę z powodu manewrującej właśnie lokomotywy i wszedł na swój peron. Pociąg powoli ruszał, koła leniwie zaczynały się toczyć. Jego przedział był całkiem z przodu. Wskoczył więc na schodki najbliższego wagonu, złapał uchwyt i pociągnął. Uchwyt ani drgnął. Zaparł się ramieniem o drzwi i pchnął z całych sił. Drzwi się nie poddały. Były zamknięte.

Tymczasem koła rozpedziły się na dobre, jakby z każdym obrotem przybywało im sił. Mężczyzna

stojący przed zamkniętym wagonem mocno zacisnął pięść wokół mosiężnego uchwytu, a wolną ręką zaczęła uderzać w okno. Uderzał i wołał. Dziwił się, złościł, że ktoś wpadł na pomysł, by w środku trasy zamknąć wagon.

- Kto to w ogóle słyszał!

Wiatr wzmagął się, unosił włosy na jego odsłoniętej głowie, wemknął się - niczym złodziej do źle zamkniętego mieszkania - za kołnierz, sięgał coraz głębiej, aż po plecy. Zimny pot wystąpił mu na czoło, rozlał się po policzkach. Zdawało mu się, że te ciężkie krople zaraz zamarzną, pokrywając mu twarz lodową korą.

- Otwórzcież, otwórzcie! Nie słyszycie? Tu mówi pasażer tego pociągu! Zapomniany pa-sa-żer!

Pociąg sunął przez puste, wciąż zimowe okolice. Wagony były już w pełnym pędzie.

- Wpuście mnie! Otwórzcie! Co wy sobie wyobrażacie? Nie mogę się już dłużej utrzymać! Otwórzcie!

Nagle zaświtała mu w głowie szaleńcza myśl: może ten wagon jest całkiem pusty i nikt go nie słyszy? Krzyczy na próżno, na próżno krzyczy - stoi przed zamkniętym pustym wagonem!

Poczuł, jak dziwnie miękną mu kolana. Delikatny, nieprzyjemny skurcz złapał go w nogach. Strach sparaliżował całe ciało. Z wielkim trudem wychylił się i przypadł twarzą do okna. W ciasnym przejściu nie dało się nic zobaczyć. Pusto. Jedynie wąska szybka, zasnutą poranną mgłą, tępo odbijała jego zgasłe oczy i włosy, które wiatr i strach postawiły mu na głowie. Wówczas w okienku pojawiła się twarz. Przyglądała mu się okrągła, wciąż jeszcze dość dziecięca buzia, wyrastająca z żołnierskiego kołnierza.

- Otwórzcie, otwórzcie! Ratujcie! - zaczął znów krzyczeć podróżny.

Żołnierz przestraszył się, cofnął, podniósł karabin, wycelował w człowieka przed oknem stalową rurę.

Wagony niczym rozjuszony zwierzęta rzucały się w tę i we w tę, stukały, wyły, wybijały kołami melodię tar-tar-ara-ra... A może to on, człowiek przed zamkniętymi drzwiami, nieustannie uderzał pięścią w drzwi? Dźwięki świdrowały mu mózg, śrubowały aż do szpiku, huczały w uszach, wypełniały powietrze. Tar-tar-ta...

Krok za krokiem, z bronią wycelowaną w okno, żołnierz oddalał się, zniknął.

Podróżny wzdrygnął się i poczuł straszliwe zimno w ręce trzymającej klamkę. Metal wżerał mu się w skórę. Skóra dłoni szczypała i piekła. Palce zamrtwiały. Ramię i ręka stały się niezależnymi członkami, przestały służyć, straciły związek z całym ciałem. Ręka nie mogła już dalej łączyć ciała z żelaznym [!] uchwytem, którego się ono trzymało. Ręka nie zamierzała już więcej znosić piekącego bólu zadawanego przez zmrożony metal. Za chwilę ręka oderwie się od drzwi, za chwilę spadnie człowiek...

Człowieka na schodach zamkniętego wagonu opadła rezygnacja. Przyszła skądś głęboko, gdzieś ze środka. Mężczyzna zrozumiał, że włosy na głowie stawia mu nie tylko rozszałały wiatr, ale i strach. Ślepy, dziki lęk

przed śmiercią, przed niebytem... Z dziwną jasnością zobaczył przed oczyma swoich najbliższych, najdroższych. Stanęli przed nim niczym obraz w naturalnych rozmiarach, a obok nich dostrzegł siebie, dobrze zbudowanego, energicznego. Okrzyk bólu wyrwał się z jego piersi: przypomniał sobie - gdzieś o tym czytał - że tylko w chwili największego niebezpieczeństwa człowiek widzi tak wyraźnie to, co mu najdroższe na świecie... Zrozumiał - to szlocha w nim dusza, która czuje jego klęskę. To umiera mu serce.

Do okna podszedł żołnierz ze szlifami na ramionach. Za nim - tamten młody o twarzy dziecka, karabin u nogi. Surowe i poważne spojrzenie sierżanta objęło sine, wiatrem smagane policzki, wytrzeszczone ze strachu oczy, otwarte usta, krzyczące, błagające: „Otwórzcie!”. Sierżant schylił się do okna, sprawdzał, czy nikt nie stoi obok krzyczącego przed drzwiami mężczyzny. Ostre, krótkie spojrzenie i ręka, która spoczywała na otwartej pochwie nagana odryglowała drzwi, złapała mężczyznę za ramię i wciągnęła go do środka. Podróżny bezwładnie uderzył kolanami o podłogę, wstał, przyparł plecami do ściany, zamknął oczy.

- Czego się pan dobija do wagonu dla więźniów? Kogo pan tu szuka?

Podróżny wyjaśnił, z trudem wyrzucając z siebie słowa, nie mogąc opanować drżenia warg.

- Pański paszport, dokumenty!

- W przedziale, w walizce!

- Za mną!

Palce, które wciąż go trzymały, wbiły mu się w ramię niczym kleszcze i pchnęły do przodu. Za nimi ruszył tamten żołnierz z karabinem. W wagonie przepychali się zaniepokojeni więźniowie, w tym paru inteligentów, mężczyzna w okularach z wąską spiczastą bródką, inni, wszyscy bladzi z poruszenia, oczy pełne ciekawości, nadziei, rozczarowania...

Przeszedłszy kilka wagonów, weszli do przedziału. Sierżant sprawdził paszport, obejrzał się i uśmiechnął.

- Ma pan szczęście, że ten tu - wskazał głową na młodego żołnierza - pana nie zastrzelił. Myślał, że to napad. Zresztą wszyscy myśleliśmy, że szykuje się tu napad na wagon, żeby uwolnić paru więźniów.

Wyszedł, bardzo się spiesząc.

W przedziale nie było nikogo. Podróżny opadł na swoje miejsce, oparł się o ściankę. W głowie mu huczało, krew pulsowała w skroniach.

Z szumu coraz wyraźniej wyłaniała się, rosła świadomość potężnej siły życia. Całym swym ciałem, wszystkimi zmysłami poczuł wartość, ogromną, jedyną wartość *bycia*, nagiego *bycia*... ■

przełożyła Karolina Szymaniak

Opowiadanie ukaze się nakładem Wydawnictwa ŻIH w antologii prozy jidysz Chasydzka maszyna parowa pod redakcją Karoliny Szymaniak.

# Wino rodzynkowe

## PURIM LEC

W Purim mamy obowiązek jedzenia, picia i radowania się [...]. Ponieważ cały cud miał związek z winem – Waszti została ukarana podczas uczty przy winie i Ester zajęła jej miejsce, jak również wydarzenia z Hamanem i jego upadkiem miały związek z uczną przy winie – nasi błogosławionej pamięci rabini nakazali, by upoić się winem.

(Szlomo Ganzfried, *Kicur Szulchan Aruch*, tłum. Ewa Gordon, Warszawa 2023, s. 497)

Prawo żydowskie nakazuje picie wina m.in. w szabat, podczas świąt i uroczystości. Koszerny trunek nie był jednak zawsze łatwo dostępny i nigdy nie było pewności, czy importowane wino na pewno spełnia wszystkie wymogi. W krajach takich jak dawna Rzeczpospolita popularnością cieszyły się więc dopuszczone przez autorytety religijne alternatywy – na przykład wino rodzynekowe, sporządzane przez namoczenie rodzynek w wodzie. Jak czytamy w *Kicur Szulchan aruch*, stanowiącym kompendium prawa żydowskiego:

Gdy rodzynek są tak nabrzmiałe, że kiedy się je ugniata, wypływa z nich gęsty sok, jeśli ktoś je zgniótł i zanurzył w wodzie, aby [uzyskać] napój [...], gdy były zanurzone przez trzy dni i sfermentowały, a po trzech dniach zlano napój do innego naczynia, napój ten jest w istocie winem [...]. W każdej sytuacji, gdy [do spełnienia przykazania] potrzebny jest kielich wina, można skorzystać z takiego [napoju].

(Tamże, s. 222)



**Składniki:**

- rodzynki
- cukier
- sok z cytryny
- przegotowana woda
- pożywka fermentacyjna
- drożdże winiarskie

Na pięć części rodzynek należy wziąć jedną część cukru. Ilość cukru zależy od słodczy rodzynek, dodajemy go też później, w podobnej ilości, co na początku. Na kilogram rodzynek potrzeba soku z jednej dużej lub dwóch mniejszych cytryn. Wody potrzebujemy dwie części na jedną część rodzynek.

Rodzynki sparzyć i odcisnąć, wrzucić do pojemnika fermentacyjnego. Przygotować syrop cukrowy – rozpuścić cukier w ok. ¼ ilości wody. Do rodzynek dodać sok z cytryny i syrop. Dolać resztę wody, drożdże winiarskie i pożywkę. Wymieszać i odstawić. Wino trzeba – szczególnie na początku – mieszać codziennie, żeby nie pojawiła się pleśń (rodzynki powinny ciągle być zanurzone, nie mogą wypływać). Po tygodniu należy dodać kolejną porcję syropu (ilość cukru jest zależna od słodkości napoju, sami o niej decydujemy). Po dwóch tygodniach kolejną. Po miesiącu odlewamy przez sito owoce, sprawdzamy słodkość, ew. znów dodajemy cukru. Zlewamy do szklanej butelki. Odstawiamy. Moc wina zależy od czasu fermentacji. Im dłużej fermentuje, tym jest mocniejsze. Kolejne zlewanie znad osadu wykonujemy zależnie od tego, jak się wytrąca osad. Wino trzeba klarować, aż osad nie przestanie się wytrącać. Klarowanie jest ważne, bo inaczej wino będzie mętne, z posmakiem drożdży. Chyba że robimy małą porcję i wypijemy wszystko na raz. Jeśli nie zależy nam na mocy wina, to zasadniczo – po smaku – decydujemy, kiedy zakończyć proces i je wypić.

Lechaim!

P.S. Można też wino rodzynkowe zrobić prościej, bez drożdży i pożywki, licząc na drożdże znajdujące się na samych rodzynekach (wtedy ich nie parzymy ani nie płuczemy). Pochodzący z Kielc Julian Gringas opowiadał Ance Grupińskiej:

[Na Pesach] się pijało wino rodzynkowe, które się robiło w domu. Kupowano rodzynki, te rodzynki zakwasało się, po prostu się zalewało ciepłą wodą, nie wiem, czy się dodawało cukier, czy nie, i po kilku dniach powstawał napój, które my nazywaliśmy winem rodzynkowym; miał może ślad alkoholu, ale zupełnie mizerny.

(Cytat za: A. Grupińska, *Z opowieści Żydów polskich*, cz. 8, współpraca Anna Szyba „Dwutygodnik” 2011, nr 5)



Srebrny pucharek

# Dostrzegacz

ZEBRAŁA ANNA M. ROSNER

Decyzją Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego 19 marca 2024 roku pani Monika Krawczyk została odwołana ze stanowiska dyrektorki Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma. Pełniącym obowiązki dyrektora Instytutu został dr Michał Trębacz.

Dr Michał Trębacz jest doktorem nauk humanistycznych, członkiem European Association for Jewish Studies (EAJS) oraz Association for Slavic, East European and Eurasian Studies (ASEEES). Od roku 2017 kierował Działem Naukowym w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Sprawował nadzór merytoryczny nad programem Global Education Outreach Program, którego celem była budowa infrastruktury naukowej dla rozwoju studiów żydowskich w Polsce i na świecie. Wykładał zagadnienia dwudziestowiecznej historii polskich Żydów na uniwersytetach w Niemczech, Izraelu i USA. Współpracował także z Memorial de la Shoah w Paryżu. Uczestniczył i prowadził wiele projektów badawczych dotyczących historii Żydów w Polsce. Jest autorem ponad 40 artykułów naukowych i popularnonaukowych. Publikował m.in. w „Zagładzie Żydów. Studia i materiały”, „Kwartalniku Historii Żydów” czy „Polityce”.

Od 2 października do 30 grudnia 2023 roku w madryckim Centro Sefarad można było oglądać fotografie Julii Pirrotte ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego. Po wystawie *Przesiedleni. 14 historii z getta warszawskiego* to kolejny projekt realizowany we współpracy z hiszpańską instytucją.

Od 29 czerwca do 7 stycznia 2024 roku w Centrum Dokumentacji Nazizmu w Monachium można było oglądać wystawę *Ważniejsze niż życie: Podziemne Archiwum Getta Warszawskiego* organizowaną we współpracy z Żydowskim Instytutem Historycznym.

11 grudnia 2023 roku w Instytucie Simona Dubnowa w Lipsku otwarta została wystawa prezentująca fotografie ukazujące życie Żydów w Polsce bezpośrednio po

Zagładzie. To unikalna kolekcja składająca się przede wszystkim z albumów fotograficznych, która pozwala na wgląd w pierwsze lata powojenne. Wystawę można obejrzeć w ramach oprowadzań z przewodnikiem, a także po wcześniejszej rezerwacji.

Wystawa pozostaje otwarta dla zwiedzających do grudnia 2025 roku.

## Dzieje się w ŻIH

W styczniu 2024 roku nakładem wydawnictwa Żydowskiego Instytutu Historycznego ukazała się wyjątkowa książka *Kicur Szulchan aruch*. To dziewiętnastowieczne kompendium żydowskiego prawa i obyczajów autorstwa rabina Szlomo Ganzfrieda, które zyskało wielką popularność wśród Żydów aszkenazyjskich. Dzięki znakomitemu tłumaczeniu Ewy Gordon *Kicur Szulchan aruch* jest po raz pierwszy w historii dostępny dla polskojęzycznych czytelników i czytelniczek.

Zapraszamy do Księgarni na Tłomackiem po tę i inne książki oraz na pyszną kawę!

W dniach 2–3 grudnia 2023 roku odbyła się kolejna edycja Akademii Zimowej Żydowskiego Instytutu Historycznego. Do Warszawy zjechali się edukatorzy i edukatorki z całego kraju, którzy w codziennej pracy z młodzieżą szczególnie nacisk kładą na poznawanie historii i kultury lokalnych społeczności żydowskich oraz twórczo promują idee tolerancji i wielokulturowości.

W dniach 15–16 stycznia 2024 roku w Żydowskim Instytucie Historycznym odbyła się konferencja naukowa *Marek Hłasko dzisiaj* poświęcona różnym spojrzeniom na twórczość tego pisarza.

1 lutego 2024 roku w siedzibie Żydowskiego Instytutu Historycznego podpisana została umowa o współpracy Żydowskiego Instytutu Historycznego z Muzeum Treblinka. Niemiecki nazistowski obóz zagłady i obóz pracy (1941–1944). Sygnatariuszami zostali szefowie obu instytucji: Monika Krawczyk i Edward Kopówka.



FOT. DANUTA MATLOCH / MKiDN

### Nowy dyrektor ŻIH dr Michał Trębacz i Piotr Rypson, dyrektor Departamentu Dziedzictwa Kulturowego MKiDN

Przez cały marzec 2024 roku trwała zorganizowana przez Żydowski Instytut Historyczny wystawa plenerowa *Serce miasta, którego już nie ma. Zbiory Żydowskiego Instytutu Historycznego* przybliżająca odbiorcom Instytut jako opiekuna jednej z największych i najbardziej różnorodnych kolekcji zbiorów żydowskich w Europie.

Wiele z obiektów, którymi się opiekujemy, przed wojną znajdowało się w żydowskich domach, także tych warszawskich. Wśród tych przedmiotów są świadectwa Zagłady, cenne książki czy obiekty kultu. Nie możemy więc, ze względów konserwatorskich, eksponować tych przedmiotów w przestrzeni miasta. Zamiast tego udostępniliśmy ich wysokojakościowe fotografie na nośnikach outdoorowych znajdujących się w lokalizacjach rozsianych po warszawskim Muranowie. W ten sposób obiekty powróciły na ulice, które przed II wojną światową były częścią żydowskiej Warszawy.

Kuratorami wystawy byli Krzysztof Czajka-Kalinowski i Anna Dobrowolska-Balcerzak.

### Nagrody i wyróżnienia

Z nieskrywaną dumą donosimy, że książka pracującej w Żydowskim Instytucie Historycznym dr Agnieszki

Witkowskiej-Krych *Dziecko wobec Zagłady* odniosła niemały sukces. Oto zdobyte przez nią nagrody:

- 2023: laureatka międzynarodowej nagrody Pilecki Book Award,
- 2023: laureatka Nagrody KLIO (w kategorii varsaviana),
- 2023: finalistka w Konkursie o Nagrodę Historyczną m.st. Warszawy im. Kazimierza Moczarskiego,
- 2023: laureatka Nagrody im. Józefa A. Gierowskiego i Chonego Shmeruka,
- 2023: laureatka Nagrody im. prof. Elżbiety Tarkowskiej,
- 2023: finalistka w konkursie o Nagrodę im. Jerzego Giedroycia,
- 2023: finalistka w Konkursie o Nagrodę im. prof. Tomasza Strzembosza,
- 2022: wyróżnienie w Konkursie im. Majera Bałabana za najlepszą pracę doktorską,
- 2022: wyróżnienie w Konkursie im. Inki Brodzkiej-Wald za najlepszą pracę doktorską.

Dr Ewa Koźmińska-Frejłak otrzymała II miejsce za najlepszą naukową publikację książkową w dziedzinie historii i kultury Żydów w Polsce w konkursie Nagrody im. Józefa A. Gierowskiego i Chonego Shmeruka

przyznawana przez Pracownię Badań nad Historią i Kulturą Żydów w Polsce i Relacjami Polsko-Żydowskimi im. Marcella i Marii Roth w Instytucie Judaistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Dr Piotr Kendziorek za książkę *Filozofia wobec Zagłady. Koncepcje teorii krytycznej, Martina Heideggera i poststrukturalizmu* otrzymał nominację do nagrody im. Prof. Tadeusza Kotarbińskiego, przyznawaną przez Uniwersytet Łódzki.

*Antologia spojrzeń. Getto warszawskie – fotografie i filmy* pod redakcją Anny Duńczyk-Szulc i Agnieszki Kajczyk otrzymała nagrodę w II Konkursie na Muzealną Książkę Roku. Ta sama publikacja dotarła do finału Konkursu Na Książkę Edytorsko Doskonałą w edycji na lata 2022/2023.

Dr Maria Ferenc za książkę *„Każdy pyta, co z nami będzie”. Mieszkańcy getta warszawskiego wobec wiadomości o wojnie i Zagładzie* otrzymała wyróżnienie w The Yad Vashem International Book Prize for Holocaust Research 2022.

Dr Maria Ferenc otrzymała nagrodę finałową w kategorii „Nagrody humanistyczne – historia” w konkursie o Nagrodę Naukową Tygodnika „Polityka”

Nagroda KLIO za wyjątkowe zasługi dla popularyzacji historii i promowania literatury historycznej:

- Żydowski Instytut Historyczny otrzymał nagrodę specjalną w kategorii edytorskiej za ukończoną w tym roku pełną edycję Archiwum Ringelbluma,
- „Wydanie 36 tomów Archiwum Ringelbluma to wielkie wydarzenie kulturalne, które domaga się zorganizowania specjalnej konferencji naukowej” – powiedział prof. Szarota, przewodniczący kapituły nagrody,
- Wyróżnienie w kategorii varsaviana dla Agnieszki Witkowskiej-Krych za książkę *Dziecko wobec Zagłady. Instytucjonalna opieka nad sierotami w getcie warszawskim*.



FOT. A. STAWIŃSKI

**Spacer kuratorski po wystawie plenerowej *Serce tamtego miasta*. Kolekcja Żydowskiego Instytutu Historycznego**

**Dobiega końca projekt Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe, który Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma realizował w latach 2020–2024 we współpracy z Muzeum Historii i Kultury Żydów Polskich POLIN. Celem projektu było opracowanie, zdigitalizowanie i udostępnianie źródeł historycznych ze zbiorów, które ma w swojej opiece ŻIH.**

Chcieliśmy dotrzeć do szerokiego grona naukowców, edukatorek, genealogów. Poprzez wystawy, publikacje i wydarzenia kulturalne oraz różnorodne wydarzenia dotarliśmy też do osób zainteresowanych historią, uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych czy senierek związanych m.in. z Uniwersyte-tem Trzeciego Wieku.

W ramach programu opracowaliśmy i udostępni-liśmy w Internecie ponad 2300 zdigitalizowanych obiektów z Archiwum ŻIH, wśród których znalazły się relacje osób ocalałych z Zagłady, fotografie, plakaty, obrazy, a także kolekcja miniatur macew czy różnego rodzaju pieczęci, pochodzących przede wszystkim z getta łódzkiego.

Podsumowaniem naszych prac nad zbiorami była zaprezentowana w marcu 2024 roku wystawa *Serce tamtego miasta. Kolekcja Żydowskiego Instytutu Historycznego*. W formie wielkoformatowych wydruków rozmieszczonych w przestrzeni warszawskiego Muranowa, a także na naszej stronie internetowej pokazaliśmy różnorodny zasób obiektów zdigitalizowanych w ramach projektu ŻDK.

Nie była to jedyna ekspozycja, którą mogliśmy zorganizować dzięki środkom z programu. W roku 2020 zaprezentowaliśmy wystawę czasową *Symcha Trachter 1894–1942. Światło i barwa*, której kuratorem był Jakub Bendkowski, a dwa lata później *Tańczący 1944. Mieczysław Wejman* – jej kuratorem był dr Piotr Rypson. Uczestnictwo w projekcie ŻDK pozwoliło nam też zorganizować wydarzenia towarzyszące wystawom takim jak *Pomniki oporu. Sztuka wobec powstania w getcie warszawskim (1943–1956)* czy *Niewielkie resztki z Solnej. Izaak Celnikier wobec doświadczenia Zagłady*.

Zorganizowaliśmy cztery edycje Marszu Pamięci, idącego ulicami Warszawy pochodu poświęconego pamięci warszawskich Żydów wywiezionych do Treblinki

latem 1942 roku. Każdej z nich towarzyszyła instalacja artystyczna lub wystawa plenerowa. W roku 2021 była to instalacja artystyczna *Ławki*, upamiętniająca żydowskich nauczycieli i nauczycielki z getta. Rok później przygotowaliśmy instalację *Przesiedleni. Czternaście historii z warszawskiego getta* poświęconą uchodźcom i przesiedleńcom, z kolei Marszowi w 2023 roku towarzyszyła wystawa *Korzenie powstania. Opór w getcie warszawskim* w formie kobierca z muranowską roślinnością, opowiadająca o poprzedzającym wybuch powstania oporze cywilnym w getcie warszawskim.

Projekt ŻDK to także publikacje. Z okazji 80. rocznicy buntu w obozie zagłady Treblinka II ukazała się książka *Treblinka. Relacje więźniów* w opracowaniu dr Agnieszki Żółkiewskiej, zawierająca pochodzące z archiwum ŻIH relacje byłych więźniów tego obozu. Dzięki środkom z programu mogliśmy stworzyć czasopismo „Tłomackie 3/5”, którego siódmy już numer trzymają Państwo w rękach. By dotrzeć do jak najszerszego grona odbiorców i odbiorczyń, przygotowaliśmy też podcast *75 historii. Podcast Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma*, w którym pracowniczki i pracownicy ŻIH opowiadają o zbiorach zgromadzonych w Instytucie i jego pracy.

W ramach projektu zorganizowaliśmy 48 warsztatów tematycznych dla uczniów, w których uczestniczyło łącznie 929 osób. W 90 spacerach w przestrzeniach miasta oraz oprowadzaniach po wystawie stałej i czasowych ekspozycjach wzięło udział ponad 1500 osób. Przeprowadziliśmy 16 lekcji online dla 271 uczniów. Zorganizowaliśmy 11 Akademii Letnich i Zimowych skierowanych do nauczycieli i edukatorek, którzy w swojej pracy dydaktycznej podejmują zagadnienia związane z historią, kulturą i religią Żydów polskich, a zwłaszcza z ich losami w czasie II wojny światowej, a także seminarium dla pracowników działów zajmujących się edukacją w instytucjach, które statutowo podejmują temat martyrologii w czasie II wojny światowej.

Zorganizowaliśmy ponad 80 wydarzeń, w tym seminaria, spotkania, wykłady (w formie online i offline) poświęcone religii, kulturze, sztuce i historii Żydów polskich, w których uczestniczyło około 6000 osób.

WYSTAWA PLENEROWA | OUTDOOR EXHIBITION

01-31 III 2024

# SERCE TAMTEGO MIASTA

Kolekcja Żydowskiego Instytutu Historycznego

## THE HEART OF THE CITY THAT ONCE WAS

Collection of Jewish Historical Institute



O WYSTAWIE

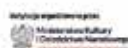


[www.jhi.pl](http://www.jhi.pl)

Żydowski Instytut Historyczny  
im. Emanuela Ringelbluma

ul. Tłomackie 3/5  
Warszawa

ORGANIZATOR



PATRONI HONOROWI



PARTNER

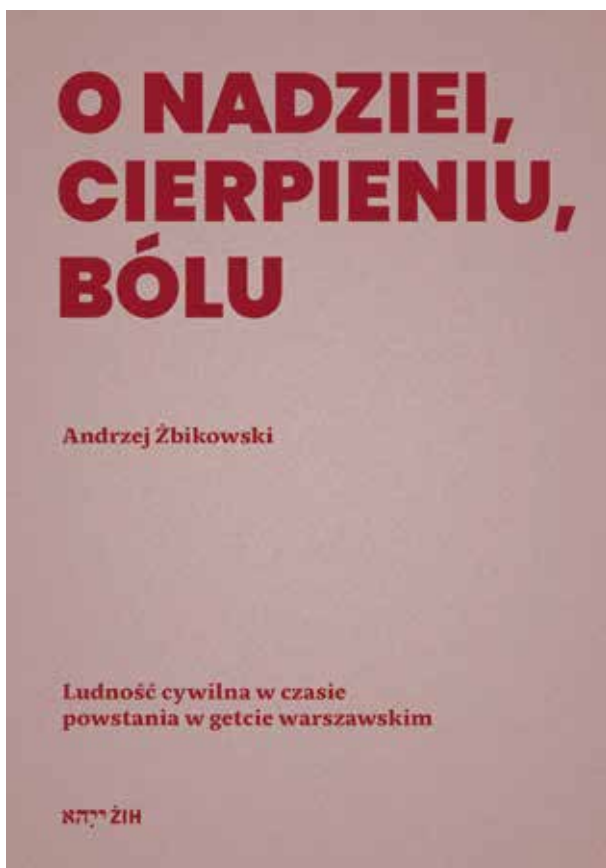


PATRONI MEDALNI



FINANSOWANE

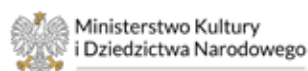




Andrzej Żbikowski  
**O nadziei, cierpieniu, bólu. Ludność cywilna w czasie powstania w getcie warszawskim**  
 Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma, Warszawa 2023

Esej naukowy prof. Andrzeja Żbikowskiego pokazujący ostatnie dni getta nie z perspektywy walczących bojowców, ale ukrywającej się w schronach ludności cywilnej. Opierając się na relacjach świadków – z różnych części getta, mających odmienny status społeczny i znajdujących się w rozmaitych sytuacjach – autor opisuje doświadczenia żydowskich cywilów od dnia poprzedzającego powstanie do 16 maja 1943 roku. Znajdziemy tu m.in. relację Mariana Berlanda, Leona Najberga, Tuwii Borzykowskiego i inżyniera Barucha Goldmana, a także Marylki czy Stefy, czyli Stelli Fidelseid. Towarzyszymy im od momentu przygotowań do Pesach i pierwszych walk po ostatni etap – drogę na Umschlagplatz.

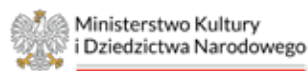
Publikacja powstała dzięki dofinansowaniu ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz przy wsparciu Fundacji im. Róży Luksemburg – Przedstawicielstwo w Polsce.

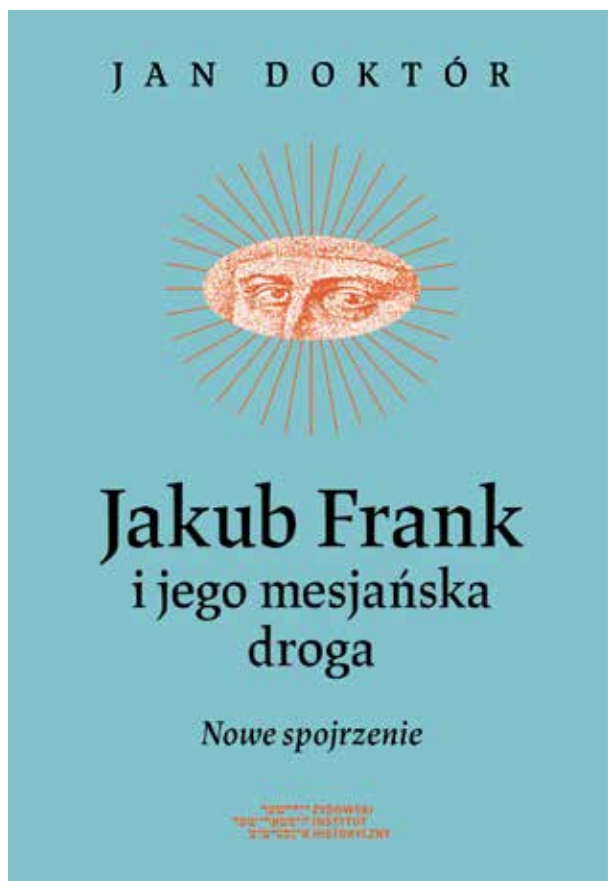


Szymon Datner  
**Zagłada Białegostoku i Białostoczczyzny. Notatki dokumentalne**  
 Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma, Warszawa 2023  
 Seria: Wydanie Krytyczne Prac Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej  
 Opracowanie: Helena Datner, Eleonora Bergman, Ewa Koźmińska-Frejłak  
 Przypisy: Sylwia Szymańska-Smolkin  
 Przekład: Sara Arm, Adam Bielecki, Julia Jakubowska  
 Weryfikacja przekładu: Monika Adamczyk-Garbowska

Wyjątkowa w tej serii wydawniczej pozycja obejmująca przełożone z języka jidysz niepublikowane dotąd teksty z Archiwum ŻIH przechowywane w Zbiorze relacji Żydów ocalałych z Zagłady. Szymon Datner przygotował je z myślą o stworzeniu monografii dziejów żydowskiej Białostoczczyzny (ze szczególnym uwzględnieniem okresu drugiej wojny światowej), której jednak nigdy nie ukończył. Pracę Datnera, oprócz opracowania naukowego, dopełnia tu obszerny esej biograficzny napisany przez jego córkę – Helenę Datner.

Publikacja powstała dzięki dofinansowaniu ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz przy wsparciu Fundacji im. Róży Luksemburg – Przedstawicielstwo w Polsce.





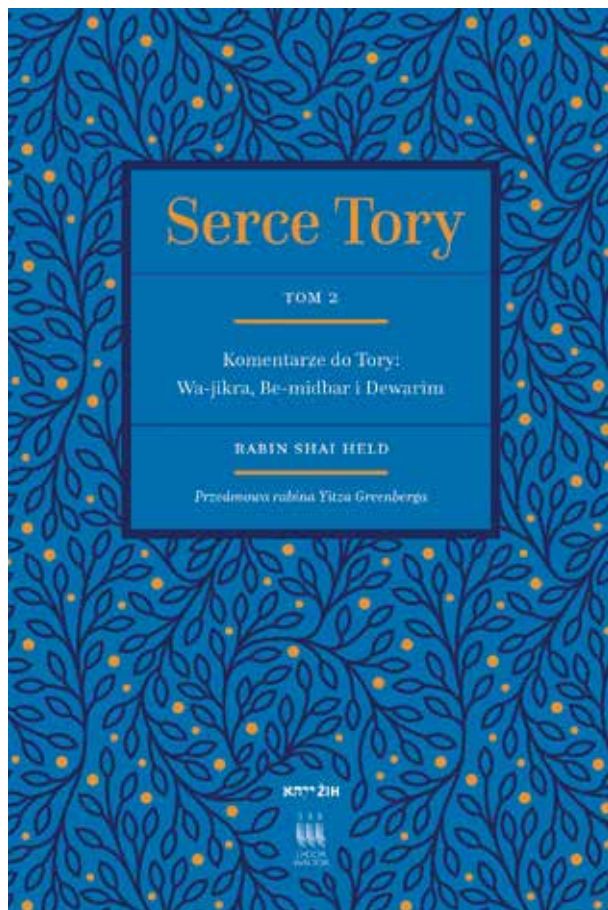
Jan Doktor

**Jakub Frank i jego mesjańska droga. Nowe spojrzenie**

Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma, Warszawa 2023

Wybitny znawca żydowskiego mesjanizmu, autor wielu studiów o Jakubie Franku, w najnowszej książce podsumowuje i rewiduje wnioski swoich niemal czterdziestoletnich badań poświęconych założycielowi ruchu zwanego później frankizmem. Wykorzystując wszystkie dostępne źródła – zarówno żydowskie, jak i chrześcijańskie (niektóre z nich publikowane są tu po raz pierwszy) – Jan Doktor dokonuje ponownej rekonstrukcji dziejów Jakuba Franka i jego zwolenników. Stawia przy tym fundamentalne pytania – np. o okoliczności powstania dokumentów, które dotychczas uznawane były przez badaczy frankizmu za wiarygodne, i na podstawie których budowali oni swoje interpretacje czy teorie. Jak zaznacza w recenzji książki prof. Michał Galas, takie polemiczne stanowisko także wobec własnych osiągnięć badawczych jest rzadkością w świecie nauki.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Shai Held

**Serce Tory, t. 2**

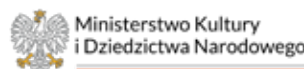
Tłumaczenie: Barbara Krawcovicz

Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma, Fundacja LEDOR WADOR, Warszawa 2023

Drugi tom zbioru esejów nowojorskiego rabina Shai Helda – teologa i współzałożyciela Hadar Institute w Nowym Jorku – w których komentuje on cotygodniowe czytania Tory.

Held odnosi mądrość Tory do sytuacji współczesnego człowieka, zaprasza do głębokiej refleksji nad własnym życiem oraz sposobem, w jaki postrzegamy i traktujemy siebie oraz innych. Dogłębnie analizuje Talmud i midrasze, odwołuje się do wielkich pisarzy literatury światowej, a także do myślicieli innych religii, aby znaleźć odpowiedzi na fundamentalne pytania – o Boga, naturę ludzką i o to, co znaczy być osobą religijną we współczesnym świecie. Podkreśla przy tym wagę empatii w etyce żydowskiej oraz rolę boskiej miłości w żydowskiej teologii. Książka może być ważnym odkryciem także dla chrześcijan – pomaga lepiej zrozumieć wspólną przestrzeń między chrześcijaństwem i judaizmem.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.





**TŁOMACKIE**  
**3/5**

Iceland   
Liechtenstein  
Norway grants

Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---

---

 Żydowskie  
Dziedzictwo  
Kulturowe

---

---

Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej

